№ 47 Warszawa, dnia 17 (20) Listopada 1880 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

MIRELLA.

POEMAT Z ŻYCIA LUDU.

Fryderyka Mistral.

przez

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg).

Dnie płyną jak woda w strumieniu. Jedwabniki wyrosły, osnuły się miękkim jedwabiem. Na podwórko Ramona przybiegły dziewczęta z całej wioski, pomagają Mirelce zwijać jedwab' z żółtych kokonów. Ileż tam śmiechu, ile gwaru! Witka nie ma pomiędzy niemi, ale imię jego wybiega z ust wesołych dzieweczek.

Ilekroć Mirelka je posłyszy, płoni się jak wisienka.

— Witek ubogi, wyszepnie jedna z dziewcząt, on ciebie nie dostanie!

— Ubogi! zawoła stara Tewen, znachorka w mniemaniu wsi całej, i cóż ztąd że ubogi? Albo to Bóg patrzy na złoto? Więcej zaważy nieraz przed Boskim sądem zdarta gunia pasterza, niż jedwabie i bisiory wielkich panów.

I stara Tewen prawi o ubogim pasterzu:

Za moich czasów żył pasterz stary,
Zbiegał za trzodą puste obszary,
Czy w dzień powszedni, czy to w dzień święta,
Po dzikich jarach pasał bydlęta.
Choć się ku Bogu rwie duszą całą,
Nie ma kościołka! czasu nie stało!
Wreszcie lat brzemię grzbiet mu nagina,
Rychło wybije śmierci godzina,
Załamał ręce, z myślą się biedzi,
Jak tu bez świętej umrzeć spowiedzi?

Siwy pustelnik mieszka wśród lasu;
Pośpiesza pasterz, nie traci czasu,
Przed pustelnikiem głowę uniża,
Bezsilną ręką kreśli znak krzyża.
—„Wyznaj mi bracie, wszystkie twe winy!“
Tu pasterz zadrżał jak liść osiny.
—„Wyrzut brzemieniem pierś mi przygniata:
Raz miły ojcze pliszka skrzydlata,
Krąży nad trzodą, w piórka furkocze,
Podjąłem kamyk, co żywo skoczę,
Przebacz mi Boże, płochą igraszkę,
Jednym zamachem zabiłem ptaszkę!“
I oczy starca łzami zabłysły,
—„Obłęd mu jakiś poplątał zmysły.“
Myśli pustelnik i ręką skinie.
—„Idź, płaszcz twój zawieś na tej drabinie,
Ja cię rozgrzeszę wnet w imię Boże!“

I pasterz z ziemi powstał w pokorze,
Zrzuca płaszcz z ramion zdarty w łachmany;
Pustelnik patrzy nań zadumany,
Bo ta drabina złudna dla oka,
To słońca promyk, co padł z wysoka
Drobnem okienkiem na białe mury,
Pasterz podrzuca płaszcz swój do góry:
I płaszcz w słonecznym zawisł promieniu!

Schylił pustelnik głowę w milczeniu,
Trzykroć o ziemię czołem uderza,
Oblewa łzami nogi pasterza:
—„Przebacz mi, rzecze, wielka ci chwała!
Jak śnieg na górach, dusza twa biała;
Bóg twą niewinność poświadczył w niebie,
Ja rozgrzeszenia błagam u ciebie!

Umilkła stara Tewen, dzieweczki przyklasnęły i znowu szczebiocą swobodnie, gwarzą coś o weselu. Mirelka słucha ich rada, a przecie wypiera się w żywe oczy... Ona nie pójdzie za Witka, ani też za innego; zamknie się za kratą w klasztorze świętego Trofinia w Arlezyi. Towarzyszki nie dają wiary temu. Jedna z nich wesoła Nora, śpiewa na dowód piosenkę o pięknej Magali.

Przytaczamy ją tu w całości, szczególne podobieństwo uderza w niej, do znanej pieśni ludu mazowieckiego.

—Magali ty moja, odemknij okienko,
Zagram ci na skrzypkach, powitam piosenką!

Złociste gwiazdeczki, migoczą na niebie,
Pobledną ze wstydu gdy spojrzą na ciebie.

—Jak listek co nocą na drzewie szeleści,
Piosenka twa chłopcze przepadnie bez wieści.

Ucieknę ja od niej, popłynę het! morzem,
Przysięgę na skale, i będę węgorzem.

—Bądź sobie węgorzem, rybakiem ja będę,
Wnet drogą mą rybkę pochwycę na wędę.

—Ja zmienię się w ptaka z leciuchnemi póry,
Rozwinę skrzydełka, ulecę do góry.

—Bądź lotną ptaszyną, gońże chmurki sine,
Ja stanę się strzelcem, ułowię ptaszynę.

—Uławiaj ty w sidła kuropatwy drżące,
Ja będę stokrotką na zielonej łące.

—To ja się przemienię w zdrój krynicy czysty,
Roztoczę me wody, po łące kwiecistej.

—Bądź sobie krynicą, ja będę obłokiem,
Popłynę swobodnie po niebie szerokiem.

—Wnet stanę się wichrem co wieje od morza,
Popędzę za chmurą w dalekie przestworza.

—Ja będę promykiem co jasno połyska,
I wiosną zimowe topi lodowiska.

—Bądź słonkiem, ja w drobną jaszczurkę się zmienię,
Wypije na łące słoneczka promienie.

—A ja się przemienię w jasny krąg miesiąca,
Zaświecę na niebie wśród gwiazdek tysiąca!

—Świéćże ty na niebie, ja będę mgłą białą,
I w rąbek srebrzysty obwinę cię całą.

—Nim jasny się miesiąc w mgle mętnej zanurzy,
Zakwitnę w ogródku cudnym kwiatem róży.

—Niechże się na krzaku różyczka zapłoni,
Ja będę motylkiem co za różą goni.

—Nim wietrzyk do róży motyla przyniesie,
Ja dębem zielonym będę w ciemnym lesie.

—A ja się co żywo przemienię w mech szary,
I w koło dębowe oplotę konary.

—Nim czoło pokryjesz dębu rosochate,
Ja zbiegnę daleko za klasztorną kratę.

—Nie zbiegniesz ode mnie ty śliczna Magali,
Żelazna cię nawet krata nie ocali.

—Nim śmiała twa noga próg święty przekroczy,
Wprzód siostry całunem przysłonią mi oczy.

—Gdy umrzesz, na wieki zostanę przy tobie,
Ja ziemią cmentarną będę na twym grobie.

—Nie zpłochej ty widzę przemawiasz pustoty,
Masz oto z mej ręki pierścionek ten złoty.

—O dzięki Magali! gwiazdeczki na niebie,
Pobladły z zazdrości gdy patrzą na ciebie!

Wszystko dotąd toczyło się wiankiem, w tem niebo zachmurza się nagle; groźna burza wzbiera na widnokręgu.

Trzej bogaci pasterze prowansalscy, przynęceni wdziękami Mirelli, przybywają do niej w zaloty. Pierwszy z nich owcarz Alari, posiada tysiąc owiec; co rok na wiosnę, kiedy maj buchnie wonią kwiatów, wiedzie trzodę swoją na zielone stoki Alp; w październiku, sprowadza ją w dolinę Krau na zimowisko.

Cudnie poeta maluje pochód trzody zstępującej z góry w dolinę. Alari idzie poważnie naprzód obwinięty góralskim płaszczem; w ręku trzyma kij jesionowy. Za nim idą dwa białe psy owczarskie. Na czole jego spokój, w oku rozwaga. Tak wyglądał piekny król Dawid, gdy młodzieniec napawał w studni trzody swoje.

Alari przystępuje do Mirelli, jak niegdyś Jakób do Rebeki, oświadcza jej szczere swe chęci; ale czemże dla niej dobytek pasterza, czem patryarchalna jego postać, w obec dziarskiego Witka, tak miłego jej sercu?

— Inny mnie ukochał, i jam go ukochała, odrzecze dziewczę, i odbieży jednym poskokiem. Poważny pasterz odchodzi zwolna, ogląda się raz po raz. Żałość upadła mu na duszę.

— I czemuż pyta zadumany, tak piękna dziewczyna, oddała już serce innemu?

W kilka dni potem, przychodzi drugi zalotnik to Weran, właściciel tabunu. Przybywa z szerokich łąk Kamargi, gdzie posiada sto siwych klaczy, których głowy bieleją w pośród zielonych rokicin, rozrosłych na bagnisku. Kiedy pomkną stepem w lot błyskawicy, widzisz jak grzywy ich nietknięte nożycami pływają w powietrzu, niby śnieżysty rąbek. Jakże te córy bujnych łąk, przywiązane do morskich swych wybrzeży!

Na one klacze patrz ludzki rodzie,
Niech zdjęta wstydem pierś twoja pęka,
Czyli ostroga bok im przebodzie,
Czy to je cudza pogłaszcze ręka,
Czy twardy harap zaświszcze w dłoni,
Żadna dowolnie karku nie nagnie,
A jeśli która ujęta zdradnie,
Zdala z ojczystej wygnana błoni
Swojskiego wiatru pochwyci w płuca,
Wierzgnie kopytem, grzywę najeży,
Jezdca zuchwale z grzbietu precz zrzuca,
Strzałą do morskich pędzi wybrzeży,
Sadzi przez jary, przez trzęsawiska,
Rozdyma nozdrze, piana z niej tryska,
Aż gorejące radością ślepie,
W krąg po rodzinnym zatoczy stepie.

Właściciel stada białych klaczy, dostaje zarówno odprawę.

(d. c. n.)

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg).

Sztuka zastępuje naturę.

Pani Radziejowska była uszczęśliwiona że tak zręcznie pozbyła się na zawsze niemiłych gości. Rządy dworu wzięła znowu w swoje ręce, tydzień cały zajęta była oczyszczaniem i przystrajaniem komnat, w których wszędzie ślady hulanek pozostawały. Pod kanapami leżały potłuczone kielichy, posadzki poplamione winem, krzesła połamane, firanki obdarte, dywany podziurawione: chyba napad Tatarów mógł w takim stanie dom zostawić. W krótkim jednak czasie wszystko poszło do dawnego porządku. Pani Radziejowska zamyślała dom otworzyć i ściągnąć do siebie najświetniejsze towarzystwo. W tym celu poodwiedzała wszystkie najznakomitsze rodziny w stolicy mieszkające, tysiącznemi komplementami obsypując starsze matrony i zapraszając aby ją odwiedzać raczyły. Po smutnych swych przejściach jak mówiła, chciałaby się rozerwać i dom swój otworzyć, przyrzekając że starań wszelkich dołoży, aby się u niej dobrze bawiono. Objechawszy wszystkich, czekała u siebie, pewna że tłumnie u niej bywać zaczną. Ale towarzystwo ociągało się jakoś, nie spieszono do pani Radziejowskiej. Naradzono się jaki stosunek przystałoby z nią zachować. Skrupulatne matrony uważały rozwódkę za coś szkaradnego. Pobożniejsze nie mogły jej darować przychylności króla, światowe zazdrościły, zbyt lekkie gniewały się że wyszła z całej intrygi czystą i niesplamioną. Wszystkich w ogóle jakaś przyczyna wstrzymywała od zawarcia ścisłych stosunków z panią Radziejowską. Mężczyzni stronnicy królewscy, uważali że infamia męża, jeśli nie spadała w zupełności, to choć w części plamiła i żonę. „Żona zdrajcy“ stawiało przegrodę między nią a nieposzlakowanemi ludźmi. Dawniejsi przyjaciele milczeniem potwierdzali jawną pogardę nieprzyjaciół. Nikt więc nie spieszył ze złożeniem uszanowania podkanclerzynie. Tę nieprzychylność spostrzegła pani Radziejowska, bolała nad nią gdyż duma jej była srodze dotkniętą; jedynym środkiem do podźwignienia się w opinii publicznej pozostawał król tylko, jego przykład w okazaniu jej względów i drugich by pociągnął. Król więc był całym jej ratunkiem, lecz król był w obozie i do stolicy nie wracał.

Czasami jednak jakaś matrona okazała się na pokojach pani Radziejowskiej bo lękano się jej potrozę, ale odwiedziny były tak krótkie, tak zimną odziane etykietą, iż łatwo mogła odgadnąć że to była niby jałmużna dana proszącej, do poufnego zbliżenia się wcale nie zachęcająca. Bolało to i gryzło panią Radziejowską, duma jej urażona, miłość własna dotknięta, nie pojmowała jak przy piękności, urodzeniu i bogactwie, może kobieta zejść ze stanowiska raz zajmowanego. Nie posiadając żadnej podstawy moralnej, nie zastanawiała się nigdy nad powołaniem kobiety, żony i obywatelki, która przykładem skromności, cnót domowych i bezgranicznego poświęcenia się obowiązkom swoim, wzbudza we wszystkich poszanowanie i szacunek. Gdy kobieta traci szacunek u płci swojej, wyradza się w niej przekonanie, że towarzystwo kobiet jest nudne, że stosunki z niemi są nieznośne, oparte na zazdrości, plotkach i intrydze; wówczas usuwa się od nich a wyłącznie gronem mężczyzn się otacza. Towarzystwo zaś li tylko męzkie wytwarza niby koleżeństwo, które zawsze wrodzoną kobiecą skromność przyzwyczaja do pewnej nieoględności wsłowach, naucza lekceważyć zasady moralności, które dla kobiety są tarczą odbijającą wszystkie pokusy, przeistacza ją w jakąś istotę nieokreśloną, pół męzką, pół żeńską. Tak się stało i z panią Radziejowską. Gdy pewnego razu zaprosiwszy damy wyższego towarzystwa na wielką ucztę, zaledwo kilka śmielszych ujrzała u siebie, a reszta dla różnych przyczyn bytności swej odmówiła, spłonęła gniewem i do żywego dotknięta, postanowiła obejść się bez ich towarzystwa. Zaniechała wszelkich odwiedzin, czyniła im nawet różne niegrzeczności, myśląc że gdy król wróci, upokorzy je jego względami, a zajmując pierwsze miejsce u dworu zniewagę pogardą odpłaci.

Od tej chwili dom pani Radziejowskiej zmienił się zupełnie.

Młodzież napełniła jej komnaty, wesołe żarty ożywiały gwarną rozmowę. Nieobecność poważniejszych matron uwalniała od oględnej formy powściągliwości, każdy był jak u siebie, czuł się tylko w obowiązku odpłacić się za gościnność pani Radziejowskiej, kilku grzecznemi słowami, pieprznego niezmiernie dowcipu.

Mimo to pani Radziejowska bawiła się i przywykała do towarzystwa lekkomyślnej młodzieży, do koleżeństwa bez form światowych. Stanąwszy na tem stanowisku ośmielała młodzież do zalotnych wyścigów. Tyzenhauz jako krewny był codziennym gościem, prawie gospodarzem jej domu, on spraszał młodzież dworską, poił ją i częstował, a uczucie swoje tak długo tajone, śmiało już wyrażał. Wyznania te nie oburzały panią Radziejowską, od tylu słyszała podobne, ostrzelała się z niemi, a przyjmowała jako hołd oddany jej piękności i każdego uśmiechem lub wzrokiem do takiego postępowania zachęcała. Opadła szata wielkiej damy i została tylko zwyczajna kokietka.

Wielki świat stolicy patrzył na takie postępowanie pani Radziejowskiej z oburzeniem. Poważne matrony i zacne niewiasty, wstrzymywały swoich synów od uczęszczania do jej pałacu, ale dla młodzieży dom jej tak był ponętny, iż przestróg niesłuchała i tajemnie spieszyła na pokoje pani podkanclerzyny. Swawolne i wesołe rozmowy, dobre wino i gry hazardowne oprócz uroczej gospodyni nie wymagającej ceremonialnego zachowania się, pociągały wszystkich.

Pani Radziejowska była zadowolniona z tego nieporządnego życia, liczne grono mężczyzn ją otacza-

ło, wesołość była ciągła, nie nudziła się ani chwili, a jednak każdego dnia miała swoją godzinę smutku, niesprowadzał jej wyrzut sumienia, ani czczość takiego życia, tylko... lustro w którem badała każdy rys swej twarzy i dostrzegła niestety! że drobne zmarszczki około ócz się rysowały, że gładkie jak marmur czoło w poprzeczne, acz małe jeszcze, bruzdy się poorało, że śnieżne lica pokryły się barwą starej słoniowej kości, a usta niegdyś szkarłatne traciły karmin i świeżość swoją. Był to pierwszy istotny smutek, jakiego doznała w swem życiu, to też i pierwsza łza boleści stoczyła się po jej zwiędłem licu, na ten przerażający widok. Teraz godzinami całemi siadywała przed lustrem. Strata jedynego dziecka taką tylko boleścią szarpać może serce matki, jakiej pani Radziejowska doznawała po niknącej młodości, a z nią i swej piękności tak uroczej. Raz spłakana zerwała się z krzesła i rzekła z postanowieniem:

— Życie jest walką, trzeba wszystko umieć zwyciężyć! Naturę zwycięża sztuka.

Klasnęła w dłonie i kazała przywołać do siebie pannę Hirszównę; gdy ta weszła odezwała się do niej:

— Moja Marto, muszę cię przypuścić do wielkiej tajemnicy, ale przysięgnij mi że jej nigdy nie wydasz: gdyby kto o niej się dowiedział, zginę z rozpaczy!

— Cóż to jest takiego? zapytała strwożona Marta.

— Jedno niedyskretne słowo twoje mogłoby mnie zabić.

— Ach! to coś strasznego być musi! nie chciałabym nawet wiedzieć o takiej tajemnicy.

— Moja Marto, wolałabym obejść się bez ciebie, ale to niepodobna, nie mogę, musisz ją poznać.

— A więc przysięgam, że tajemnicy twej pani nie wydam nigdy.

— Marto ja się starzeję. Zakryła oczy i zapłakała.

Panna Marta nie mogła pojąć do czego to wyznanie zmierza. Myślała że jakieś rozporządzenie pośmiertne chce uczynić.

— Hirszówno, mówiła po chwili podkanclerzyna, piękność moja uchodzi, świeżość znika, ja muszę ją odzyskać, starą być nie chcę! Przedłużenie życia, polega dla mnie w zachowaniu piękności. Powierzam ci moja Marto tajemnicę o której ty tylko jedna wiedzieć będziesz. Marto od dnia dzisiejszego malować się będę.

Niczego jeszcze się nie domyślając, odrzekła Hirszówna:

— J. w. pani każe swój portret zrobić?

— Marto, ty nawet tego zrozumieć nie możesz. Ta piękna, świeża podkanclerzyna, chce sztuką pokonać naturę. Będę się smarować kosmetykami, będę twarz pokrywać blanszem, różem zastąpię gasnący rumieniec; będę się urągać czasowi i aż do śmierci zostanę piękną i młodą, bo starość straszniejsza od śmierci.

Roześmiała się Hirszówna i rzekła:

— I to jest ta wielka tajemnica? Myślałam że tu idzie o los jej i szczęście. O! bądź pani pewna że święcie dotrzymam tajemnicy.

— A więc weźmy się zaraz do dzieła, zawołała pani Radziejowska.

Otworzywszy wielkie pudło, dostawała z niego i rozkładała na gotowalni mnóstwo flakonów, słojów, słoików, potem głośno czytała przepisy ja używać tych wszystkich maści i eliksirów; a gdy Hirszówna wszystko to dobrze zrozumiała, przystąpiono do wykonania wielkiego dzieła.

Stopniowo gdy żółtość z twarzy schodziła, gdy zmarszczki się zaciągały, radość pani Radziejowskiej coraz bardziej się wzmagała, ale wytężając wzrok nagle krzyknęła i na wpół zemdlona usunęła się w krzesło. Hirszówna strwożona nie mogła pojąć co się stało jej pani.

Po chwili podkanclerzyna zawołała rozpaczliwym głosem.

— Marto, o ja nieszczęśliwa! zdejm tę okropność z mej głowy!

Hirszówna zaczęła przebierać włosy, i nic nie widząc, rzekła że nie ma w nich ani pająka, ani żadnego owadu. Pani Radziejowska zawołała.

— Patrz! tu nad czołem, włos biały! ten zwiastun starości, ta nić srebrna, która wiąże nas z grobem. Ale nie! on kłamie, jam nie stara! na przekor mu będę młodszą niż jestem. Włos ten za słaby aby mnie skrępował i związał ze starością, wyrwij go, spal, on niech ginie, ale nie młodość moja!

Hirszówna wyrwawszy włos, rzekła:

— Ja trochę młodsza jestem od pani, a kilka siwych włosów znalazłam u siebie, niech to panią nie martwi, siwy włos nie jest oznaką starości, jest to owoc natężonej myśli, a często cierpienia, świadectwem, że myślimy i czujemy. Z pączka wykwita róża, po wiośnie następuje lato, pani jesteś dopiero w lecie życia, jesteś różą rozkwitłą w całym swym blasku.

Słowa te ukołysały stworzoną podkanclerzynę, toaleta się kończyła, a gdy ujrzała się w zwierciadle artystycznie ublanszowaną i wyróżowaną, gdy nie dostrzegła żadnego zmarszczka, zawołała radośnie:

— Jam piękna jeszcze, moja Hirszówno, jeszcze niejedno kolano uchyli się przede mną, a jeśli po latach wielu, naprawdę starość nadejdzie, i wówczas pod tą sztuczną powłoką nikt jej nie dopatrzy. Ja w stu latach chcę umrzeć młodą.

I z rozjaśnionym czołem weszła do bawialnych komnat, gdzie już kilku z młodzieży oczekiwało jej przybycia. Niewtajemniczeni w sekreta tualetowe, nie mogli pojąć tej tak wielkiej zmiany w twarzy pani Radziejowskiej, na to trzeba było kobiecego oka, aby fałsz od prawdy rozeznać. Patrząc na świeżość płci, na gładkość lica, na usta różowe, w ciągłym uśmiechu ukazujące perłowe ząbki, wszyscy byli przeświadczeni że podkanclerzyna z każdym dniem młodnieje. Wrażenie które uczyniła napełniło ją niewysłowioną radością, zdobyła to czego tak gorąco pragnęła, odzyskała młodość, piękność i wdzięki, a z temi darami nie można się nudzić na świecie. Ale kobiety które sztuką podtrzymują piękność niknącą, w jeden i tenże sam błąd wpadać zwykły. Najprzód bardzo oględnie się malują, później trochę więcej, a na ostatek oko tak przywyka do żywych kolorów, że te wydają się im za słabe, coraz więc jaskrawszych używają, aż nareszcie z twarzy czynią maskę, która w patrzących wywołuje odrazę; a tak niewskrzesiwszy młodości, tracą powagę i szacunek, który wzbudza posiwiała głowa i pomarszczone czoło. To samo działo się i z panią Radziejowską. W początkach udało się jej oszukać oko wielbicieli, lecz coraz przesadzając w białości lica i rumieńcach, stała się jakąś odrażającą lalką, która nie miała już władzy przyciągania do siebie.

Ta zmiana była jednak szczęśliwą dla panny Hirszówny; uczucie młodego Tyzenhauza dla pani Radziejowskiej powoli ostygać zaczęło i choć w sercu tkwi jeszcze obraz pięknej podkanclerzyny, lecz już przed sobą widział tylko jego szpetną karykaturę. Duma i miłość własna niedozwalała mu jej opuszczać, roił iż połączywszy się z nią węzłem małżeńskim ustali sobie wyższe stanowisko, opływać będzie w dostatki któremi szafując pozyska przyjaciół, a nadto przy jej protekcyi zostanie wojewodą lub jakim innym dygnitarzem Rzeczypospolitej. Choć miłość stygła, coraz stawał się śmielszym, w rozmowie z panią Radziejowską nieukrywał swoich zamiarów i śpiesznym krokiem dążył do celu. Podkanclerzyna widząc iż koło wielbicieli z dniem każdym się przerzedza, nie chciała odstręczyć wiernego kochanka i chociaż nigdy przez myśl jej nie przyszło wyjść za Tyzenhauza, jednak nadziei odbierać mu nie chciała. Młody piękny młodzieniec, dla starej kokietki był drogocennym nabytkiem: nadskakiwaniem pozwalał zapominać o nadchodzącej starości, podniecał wyobraźnię i jak sztucznie umiała stworzyć sobie powierzchowność młodość udającą, tak i wyobraźnia jej utworzyła sobie jakieś niby uczucie fantastyczne, które zastępowało brak miłości. Jak stare wino pokrzepia fizyczne siły starców, tak zalotność podtrzymywała siły umysłowe pani Radziejowskiej, niezrażała więc młodego Tyzenhauza bo stał się jej potrzebnym.

Panna Marta spostrzegła zmianę dla siebie w ulubionym, stawał się coraz czulszym, serdeczniejszym dla niej; gdy dawniej zawsze się różnili w zdaniach, teraz umysł jego zdawał się jakby przejmować się jej myślami. Ona tak go kochała, iż gdyby mogła być pewną jego szczęścia w związku z podkanclerzyną, sama by w tem mu dopomogła, wyrwawszy miłość ze swego serca, choćby się boleśnie zakrwawić miało. Zapewnić szczęście ukochanego właśnego się wyrzekając, było marzeniem tej zacnej duszy. Miłość czysta, prawdziwa, nie zna zazdrości, bo zazdrość wyradza się ze zwątpienia; miłość to poświęcenie, a jej celem, szczęście ukochanej istoty, chociażby z utratą własnego.

Poddanie się stolicy i odzyskanie pałacu.

Póki na tronie szwedzkim panowała królowa Krystyna, umiała zawsze przytłumić wojenne porywy, które często drażliwe spory pomiędzy Polską a Szwecyą, wzniecały. Lecz gdy wstąpił na tron Karol Gustaw, młody, rycerską duszą i niepomierną żądzą sławy obdarzony, zarzucony plan umierającego kanclerza Aksela Oksenstierny, wzięty został jako podstawa dalszej szwedzkiej polityki. Radził on podbicie Pruss, twierdził iż ten z królów szwedzkich będzie panował nad Europą, który zdobędzie Prussy i obejmie Bałtyk cały. Młody król poszedł za tą radą nieżyjącego kanclerza i zerwał traktaty z Polską. Poselstwo Jana Morsztyna, Krzysztofa Przyjemskiego, wysłanych dla odwrócenia wojny, żadnego skutku nieprzyniosły i wojna została wypowiedzianą. Wówczas dopiero Radziejowski ujrzał nadchodzącą chwilę dogodną do spełnienia swej zemsty. Człowiek ten, pałający nienawiścią do Jana Kazimierza, chcący się pomścić krzywd swoich, stawał się wybornem narzędziem do przeprowadzenia planów króla Szwedzkiego. Odtąd Karol Gustaw nietylko często powoływał go do siebie, ale wysyłał na narady z dygnitarzami swemi, Henrykiem Okzensterną, Magnusem de la Gardia, Hrabią na Lekoo, z Gustawem Bielke baronem na Kampo, z Wawrzynem Kontersternem Sekretarzem państwa szwedzkiego i wielu innemi. Radziejowski oznaczał strategiczne punkta w Prussach królewskich, zapewniał iż cały naród zniechęcony jest do Jana Kazimierza i że nawet wielu obywateli, niezadowolnionych z rządów króla Polskiego, chętnie się przyłączy do króla Gustawa; słowem nie było środków któremiby nie zagrzewał do wojny przeciw Polsce. Poniżyć króla, zemścić się nad

żoną, było jedynem jego marzeniem. chęcią tak silną, że zacierała pamięć iż był polakiem i że na kraj własny sam ściąga wojenne klęski.

Szwedzi wylądowali, król Jan Kazimierz wojną zaskoczony, w niemałym był kłopocie. Chcąc niedostateczne swe siły powiększyć, nakazał pospolite ruszenie, a wysyłając posłów do Rzymu, Hiszpanii i Francyi, nawet i do Konstantynopola, zawiadomił państwa przychylne o grożącem mu niebezpieczeństwie, i prosił o posiłki. Tymczasem dowódzca szwedzki Wittenberg, a Radziejowski ze swej strony, wysłali odezwę do Wielkopolanów, zachęcając ich do połączenia się z wojskiem króla Szwedzkiego. Wiedział Radziejowski o niechęci Krzysztofa Opalińskiego, wojewody Poznańskiego do Jana Kazimierza, i o nieukontentowaniu Wielkopolan, jego więc zabiegi, przyniosły taki skutek, że wojewoda Poznański z Grudzińskim wojewodą Kaliskim, wraz z 20,000 wojska, bez krwi i walki poddały się pod władzę króla Szwedzkiego. Wittenberg zajął Poznań, później Gniezno, Kalisz, Międzyrzec, Leszno i Wichowę. W Warszawie wszyscy się zatrwożyli szybkiemi postępami Szwedów i myśleli o obronie. Królowę ze skarbem królewskim wysłano do Krakowa, ściągnięto wojsko z Rusi, król wyjechał do Łowicza, a ztamtąd do Wolborza, wyprawiwszy przedtem Czarneckiego kasztelana Kijowskiego dla nawrócenia Wielkopolan, lub ich skarcenia jeśliby w zaślepieniu swem trwali. Czarnecki uderzył na Kalisz, zbuntowanych wraz z Szwedami pobił; Radziejowski dzięki tylko ciemnej nocy zdołał ujść rąk dzielnego kasztelana. W tym czasie przybył Karol Gustaw do Poznania, manifestem ogłosił powody wojny, zachęcał wszystkich do łączenia się z jego wojskiem i do zrzucenia z tronu Jana Kazimierza, zapewniając narodowi swobodę, oraz zachowanie wszystkich przywilejów, praw i wiary.

Janusz Radziwiłł źle broniąc się na Litwie, czyniąc sam nadużycia, usnuł zamiar oswobodzenia się od Moskwy przez poddanie się Szwedów. Tego zdania nie podzielali panowie Litewscy. Radziwiłł rządząc samowładnie Litwą, rozkazał sprzeciwiających się: Hetmana Gąsiewskiego i Judyckiego, kawalera Maltańskiego, uwięzić i całą Litwę poddał Gabryelowi de la Gardie, gubernatorowi Inflant. Poddanie to na pewnych warunkach przez Radziwiłła przedstawionych, przyjął Radziejowski w imieniu króla szwedzkiego. Radziwiłł, Grudziński i Opaliński, byli sprawcami haniebnego czynu, który większą część kraju najezdniczemu orężowi Karola Gustawa oddał bez walki. Tak niespodziewanie szybki i łatwy zabór tej ogromnej kraju przestrzeni, uzuchwalał coraz bardziej króla szwedzkiego; przyrzekając utrzymać swobodę i prawa narodu, ciągle je gwałcił, „zapewniwszy poszanowanie własności, rabował klasztory i dwory szlacheckie. Zamiast porządku którym obiecywał obdarzyć Polskę, wprowadził bezład, grabieże i nadużycia. Niezatrzymawszy się na tych zwycięztwach z wojskiem ku Warszawie dążył. Dla każdego wojownika, zajęcie stolicy jest szczytem sławy, z niecierpliwością młodzieńczą Karol Gustaw wytężał swe siły by dopiąć tego celu. Radziejowski ze swej strony gorzał chęcią dostania się do Warszawy. Wysyłał zausznikow aby podniecali bunt przeciw Janowi Kazimierzowi, rozpisywał listy do różnych panów namawiając do poddania się królowi szwedzkiemu, dowodząc że pomyślność, potęga i bogactwo kraju od połączenia tych dwóch państw pod jedno berło zależą, że wszyscy zatem dobrzy obywatele bez walki powinni koronę Polską włożyć na skronie króla szwedzkiego.

Tymczasem Jan Kazimierz wyruszył z Wolborza doSulejowa, a Wittenberg z tyłu ciągle na jego wojsko następował. Król szwedzki w towarzystwie Radziejowskiego i Oksenstierna z wielką szybkością naprzód się posuwając, zajął Łowicz i bez żadnego oporu w dzień narodzenia Najświętszej Panny wkroczył do Warszawy.

Wielkie przerażenie opanowało stolicę, chowano drogocenne przedmioty, część ludności ucieczką się ratowała, gdyż wejście król a Gustawa było niespodziewane, popłoch wszystkim odejmował przytomność, z udaną pokorą przyjmowano zwycięzcę. Zostawiona słaba załoga pod dowództwem Wessla starosty Makowskiego, sama się rozpierzchła. Wessel dowiedziawszy się iż Radziejowski przy królu szwedzkim się znajduje, jako nieprzebłagany jego wróg, obawiając się zemsty, uszedł najpierwszy. Karol Gustaw upojony radością, zwiedzał ciekawości miasta, opatrzył zamek królewski, arsenał, gdzie znalazł sto dział większego kalibru i ogromny zapas prochu. Dumnie spoglądał na gród upokorzony i mniemał, że zdobywszy stolicę, koniec wojnie położył, stał się panem dwóch narodów, i już dwie korony wieńczą jego czoło. Zabawiwszy pięć dni, wziąwszy z sobą oddział wojska i działa, pospieszył połączyć się z Wittenbergem u Przedborza, a w Warszawie zostawił Oksenstierna i Radziejowskiego dla obrony i rządzenia stolicą. Wkrótce z rozkazu Radziejowskiego rozbrojono mieszkańców Warszawy, zwrócono prześladowanie na dawnych jego nieprzyjaciół, rabowano ich domy, zabierano dobra, Instygatora Żytkiewicza wypędzono z majętności Mszczonów, a dla samego Radziejowskiego urządzono mieszkanie w domu w którym przez żonę wygnany został.

Pałac pani Radziejowskiej był pusty, cenniejsze sprzęty i srebra wszystkie wywieziono, dworzanie i służba rozproszyła się, jednak w tym pustkowiu Radziejowski czuł się szczęśliwym, i nigdy takiej radości jak teraz nie doznał.

Padli lub upokorzyli się przed nim wrogowie, z dawnej swej komnaty w pałacu wydawał rozkazy na całą stolicę, którą rządził nie z tak ograniczoną władzą jak Jan Kazimierz lecz według swej własnej woli niczem nieskrępowanej, a słowo jego było prawem dla przelękłych mieszkańców. Nie był ci wprawdzie podkanclerzym, ale czuł się co najmniej wice-królem. Duma została już nasyconą, lecz zemsta nie jeszcze. Rozesłał gońców na wszystkie strony aby odkryć miejsce w którem wiarołomna żona się kryje, lecz ani u krewnych, ani u dawnych przyjaciół jej nie było. Wściekał się ze złości, zemsta wrzała w jego sercu, a nie mógł jej zaspokoić; naznaczył wielką nagrodę za odkrycie jej schronienia; wszystko napróżno.

Trawiony gorączką niepokoju i zemsty nienasyconej przebył dwa tygodnie, dwa wieki! Usiłowania jego nie odniosły skutku, ale prosty wypadek mu dopomógł.

Pani Radziejowska, zamknięta natenczas w klasztorze PP. Klarytek, pewnego dnia wysłała pachołka do Tyzenhauza z listem, prosząc go aby przybył do niej, gdyż ginie z nudów i trwogi wśród posępnych murów klasztornych, że on jeden pocieszyć ją może i rozweselić, więc błaga aby przyjścia swego nie zwlekał.

List ten był pisany w słowach czułych i poufnych, pachołek w drodze został zatrzymany, bo miał jakąś broń przy sobie, mimo zakazu Radziejowskiego wydanego do wszystkich mieszkańców Warszawy. Przy rewizyi list ów znaleziono i wnet odesłano go Radziejowskiemu.

Dziko rozśmiawszy się zatrząsł się ze wzruszenia i radości, biegał po komnacie jak zwierz drapieżny czujący łup swój blizkim. Zębami poszarpał pismo żony, aż nareszcie dobył szabli i ostrza jej spróbował, a nasunąwszy czapkę wyszedł szybkim krokiem.

Pani Radziejowska nie mogąc się doczekać Tyzenhauza, wysłała drugiego klasztornego pachołka, ten był szczęśliwszy gdyż jej drugi list doszedł rąk Tyzenhauza. Młodzieniec wyczytawszy słodkie słowa pani podkanclerzyny, tchnące gorącym uczuciem, sądził iż chwila szczęścia nadeszła, i że od lat tylu karmiona nadzieja w końcu spełnioną zostanie; z bijącem więc sercem spieszył do klasztoru Klarytek, ale zemsta szybsze tym razem miała skrzydła. Gdy Tyzenhauz wychodził ze swego pomieszkania, Radziejowski już był u żony.

(d. n.)

DWIE OFELIE.

DRAMAT W TRZECH AKTACH

przez

J. Belejowską.

(Ciąg dalszy).

AKT III.

Teatr dworski. W głębi tron królewski i miejsca zajęte przez panów i damy dworu. W chwili podniesienia zasłony, skończono grać III akt Hamleta; zgromadzeni dają głośne oklaski. Król i królowa opuścili salę, dworzanie wychodzą za nimi. Artyści występujący w tym akcie, pozostają na scenie, na znak szambelana królewskiego, który wchodzi w pośród nich mówiąc z dworską grzecznością.

Szambelan. Jej królewska mość król Jerzy III-ci polecił mi objawić paniom i wam panowie, najzupełniejsze swoje i królowej zadowolenie, za wyborne odegranie III-go aktu Hamleta.

Henryk Booth (przedstawiający Hamleta). Łaskawe uznanie ich królewskich mości, jest dla nas nieocenioną nagrodą i zachętą. Racz pan oznajmić n. panu, w mojem i współtowarzyszy moich imieniu, że wszelkich dołożymy starań aby do końca zasłużyć na jego względy.

(Szambelan kłania się i odchodzi; z przyległej sali wchodzi Anna w stroju Ofelii, w towarzystwie dworskiego doktora).

Anna. Brak mi słów na wyrażenie wdzięczności jaką budzi w mem sercu wysoka łaska jej królewskiej mości, i jej troskliwość o moje zdrowie.

Doktór. Ilekroć w ciągu przedstawienia ukazałaś się pani na scenie, królowa raczyła zapytywać mnie jako swego nadwornego lekarza, czy można nie narażając zdrowia pani, pozwalać ci grać dalej, w stanie tak rozgorączkowanego podbudzenia.

Anna. Wierzaj mi pan iż pewne rozdrażnienie nerwowe które królowa spostrzedz raczyła, nie jest wynikiem słabości zdrowia, ale jedynie objawem gorącej żądzy zasłużenia na uznanie j. k. mości.

Doktór. Z jakiemże życiem, z jakim ogniem pani oddałaś swoją rolę. Miłościwi państwo nie mogli się dość nachwalić gry twojej; w wielkiej scenie aktu III-go tyle było prawdy i uroku, że zachwyciłaś pani cały dwór i żywo przypomniałaś nam piękną, genialną artystkę, nieszczęśliwą miss Antonię Montfard!

Anna (machinalnie, zmienionym głosem powtarza). Antonię Montfard!

Doktór. Tak pani; sam król raczył powiedzieć, iż patrząc na ciebie zdało mu się iż odżyła w tobie ta wielka, nigdy nieodżałowana artystka... Skoro

więc masz nam ją pani zastąpić, błagam cię, w imię czekającej cię sławy oraz ogólnego uwielbienia jakie dziś wzbudziłaś, oszczędzaj się, szanuj twoje zdrowie.

Anna. Racz pan oznajmić królowi, moją najpoddańszą wdzięczność i zarazem oświadczyć, że bynajmniej nie jestem cierpiąca, i nigdy nie czułam się ożywiona równym zapałem i natchnieniem.

(Doktór kłania się i odchodzi).

Henryk (który słuchał powyższej rozmowy, zbliża się do niej mówiąc). Nie wierzę temu.

Anna (zmieszana). Jakto?

Henryk. Ukrywasz cierpienie; wszyscyśmy to spostrzegli... Jest to wyraźne następstwo zbyt silnego wówczas doznanego wrażenia.

Anna (j. w.). Nie wiem o czem pan mówisz.

Henryk. Nie udawaj miss Anno. Proszę powiedz mi szczerze co ci się wydarzyło w Bethlem... chcę wiedzieć koniecznie.

Anna. Ależ nic... wmawiasz we mnie... upewniam...

Henryk. Miss Anno, ja proszę, ja żądam abyś mi powiedziała.

Anna. Ale kiedy nie mam nic do powiedzenia.

Henryk. Jak możesz myśléć że temu uwierzę. Ta biedna obłąkana na wpół martwą wypycha cię z celi... znajduję cię zemdloną na schodkach.. zaledwo w godzinę odzyskujesz przytomność... tydzień upływa a ty ciągle jesteś cierpiąca... drżysz i bledniejesz ilekroć zapytam co zaszło między tobą a tą nieszczęśliwą... Z oczu i twarzy twej widać że gorączka cię trawi; puls przyspieszonem bije tętnem... i chcesz wmówić we mnie że ci się nic nie zdarzyło... Cóż to za niepojęta jakaś tajemnica?...

Anna. A więc przyznaję... tak jest to tajemnica której nie mogę wyjawić.

Henryk. A jednak koniecznie poznać ją muszę.. ta biedna obłąkana wciąż stoi mi przed oczami.. głos jej nieustannie brzmi mi w uszach, i niepojęte jakieś przeczucie mówi mi, że ta tajemnica silnie oddziała na całe moje życie...

Anna (nadzwyczaj pomieszana) Co za dziwne przypuszczenie!... z resztą dowiesz się kiedyś...

Henryk. Czemuż nie teraz?...

(Zbliża się pan Jackson, stary dworak, ubrany z przesadzoną wykwintnością posiwiałych elegantów. Idzie fircykowato, napuszenie, nie wiedząc że coraz zwiększające się grono artystów, krok w krok za nim postępuje. Postrzegając ten pochód artystów, Henryk zadziwiony zapytuje jednego z nich).

Henryk. Co to ma znaczyć?

Artysta (kładąc palec na ustach). Cicho, patrz i słuchaj, dopieroż się naśmiejemy.

Jackson (zatrzymując się przed artystą grającym Poloniusza). Ach! panie łaskawy, przyjm najszczersze moje powinszowanie, jesteś wielkim artystą... grałeś nieporównanie... Jaka naturalność!... jakie przejęcie się duchem roli!...

Artysta. O panie; taka pochwała...

Jackson. Za mało jeszcze powiedziałem... Czy pozwolisz wypowiedzieć całą prawdę, objawić najgłębsze moje przekonanie?

Artysta. I owszem.

Jackson. Więc słuchaj: jak blask słońca oświetla ziemię i zaćmiewa wszystkie planety, księżyc i gwiazdy, tak urok gry twojej zachwycił i opromienił widzów, a zaćmił wszystkich współgrających.

Artysta. Ach! panie... ileż wdzięczności...

(Jackson zadowolniony z siebie nie słucha i zwraca się ku artyście grającemu Klaudiusza; poprzedni zaś artysta na znak dany przez któregoś z kolegów, przyłącza się do idących za nim).

Jackson (do Klaudiusza). Czy pozwolisz serdecznie uścisnąć dłoń swoją?

Artysta. Ach! panie...

Jackson. Choćbyś się miał rozgniewać, muszę wypowiedzieć całą prawdę... grałeś cudownie. Zaćmiłeś, ale to co się zowie zaćmiłeś wszystkich współtowarzyszy.

(Nie czekając odpowiedzi idzie dalej, a artysta znów przyłącza się do postępującego za nim orszaku).

Jackson (do artysty grającego Horacia). O! pozwól stokrotnie podziękować sobie za rozkoszne wrażenia jakie mistrzowska gra twoja wzbudzała we mnie.

Artysta. Zbytek łaski... rola moja jest tak mała...

Jackson. Otóż to właśnie największa trudność... na pozór niby to rola mała, ale w gruncie niesłychanie trudna... Genialny autor skupia w niej cały wątek dramatu... Każdy znawca to przyzna.

Artysta. Ależ doprawdy...

Jackson. Pierwszorzędny talent obok tak wielkiej skromności... oto mi artysta!... Gdyby Szekspir żył jeszcze, uściskałby cię i drugi raz umarł z radości, że utwór jego znalazł tak doskonałego przedstawiciela. Tak, tak, nie ma co mówić... zaćmiłeś wszystkich współgrających!

(To powiedziawszy zmierza ku artystce grającej rolę królowej Gertrudy; powyższy zaś artysta znów łączy się z towarzyszami idącymi za Jacksonem, których już znaczna zebrała się liczba).

Jackson (całując rękę artystki). Jak pierwszorzędna gwiazda wyróżnia się wśród milionów mgławic, tak ty, pani, tak wielkim jaśniejesz talentem, że świetny blask jego zaćmił wszystkich dziś występujących artystów... ale to zaćmił tak zupełnie, jak ciemność zalegająca świat, podczas całkowitego zaćmienia słońca... Słowem...

Wszyscy artyści (chórem). Zaćmiłaś pani wszystkich... (głośnym parskają śmiechem).

(Jackson chciał przejść do Henryka i Anny; usłyszawszy śmiech odwrócił się zdziwiony, spogląda po wszystkich, a widząc szyderskie spojrzenia, miesza się i milknie, po chwili odzyskuje przytomność).

Jackson. Tak!... tak!... nie cofam com powiedział, wszyscy zaćmiliście się wzajemnie i kwita... (szybko oddala się).

Anna. Proszę was, co znaczy ta komedya?

Artystka (grająca rolę królowej Gertrudy). Wystaw sobie, pan Jackson, ten zeszłowieczny adonis, zasuszona mumia, dworak nadający się wybornie do zachowania w jakiemś muzeum starożytności; wyuczył się na pamięć jakiegoś przestarzałego komplementu i powtarzał nam go z kolei, umyśliliśmy więc zażartować sobie z niego.

(Daje się słyszeć dzwonek; paź występuje przed estradę, wołając).

Najjaśniejsi państwo!

(Artyści ustępują ze sceny, i jednocześnie roztwierają się wielkie drzwi, któremi wchodzą: król, królowa i otoczenie. Zasiadłszy na tronie, król daje znak szambelanowi i ten woła głośno):

Najjaśniejszy pan pozwala rozpocząć przedstawienie.

(Odzywa się dzwonek i rozpoczyna się przedstawienie aktu czwartego Hamleta, w pałacu królewskim).

SCENA PIERWSZA.

Król, Królowa.

Król. Proszę, powiedz mi pani, co jest powodem łez twoich i westchnień?

Królowa. Straszne widzenie miałam tej nocy.

Król. Cóż, Hamlet?

Królowa. Wściekły jak morskie fale walczące z rozhukanym wichrem. W napadzie obłąkania mimowolnie zabił Poloniusza.

Król. Zabił Poloniusza!... To okropnie!... zobaczysz królowo, że jeszcze gotowi nas posądzić o tę zbrodnię... Zabił poczciwego starca... Gdzież jest teraz?

Królowa. Wyszedł odemnie unosząc martwe zwłoki zabitego.

Król. Tak dłużej być nie może... użyję całej mojej władzy i powagi majestatu, aby osłonić jego zbrodnię, ale Hamlet musi się oddalić; powinien odpłynąć do Anglii jak tylko słońce zabłyśnie na niebie. Hej! Gildensternie!... (Wchodzą Gildenstern i Rosenkrantz). Słuchajcie! Hamlet, w napadzie szaleństwa, zabił Poloniusza, w pokoju matki i uniósł gdzieś ciało. Starajcie się wywiedzieć gdzie je ukrył i przenieście do kaplicy. (Król i królowa wychodzą).

SCENA DRUGA.

Rosenkrantz, Gildenstern, Hamlet.

Hamlet (wchodzi mówiąc). Już po wszystkiem... bezpiecznie schowany.

Rosenkrantz. Hamlecie!

Gildenstern. Książę Hamlecie!

Hamlet. Co to za krzyk?... Kto woła Hamleta?

Rosenkrantz. Powiedz nam książę co się stało ze zwłokami Poloniusza.

Hamlet. Z prochu powstały.. w proch się obrócą.

Rosenkrantz. Lecz gdzie je ukryłeś? Powiedz nam książę, bo chcemy zanieść ciało do kaplicy.

Hamlet. Proszę, niewierzcie temu.

Rosenkrantz. Jakto... czemu nie mamy wierzyć? Trzeba koniecznie żebyś nam książę powiedział gdzie ukryłeś zwłoki Poloniusza... król tego żąda.

Hamlet Aha!... król!... ciało jest z królem ale król nie jest z ciałem... król, jest to rzecz!...

Rosenkrantz. Rzecz!... co też mówisz książę!...

Hamlet. Rzecz albo nic... kryj się lisie!... hej! za lisem!...

SCENA TRZECIA.

Ciż, Król.

Rosenkrantz (do wchodzącego króla). Naj. panie, nie podobna wybadać gdzie ukrył zwłoki, mówi ciągle nieprzytomnie.

Król. Sam go zapytam. (do Hamleta) Hamlecie, gdzie jest Poloniusz?

Hamlet. Na wieczerzy.

Król. Na wieczerzy?... Gdzie?...

Hamlet. Tam gdzie nie on je, ale jego jedzą.. Teraz właśnie zgromadziło się w koło niego posiedzenie dyplomatycznych robaków... Robak jest wszechwładnym i ostatecznym królem wszystkich biesiad... Ileż to stworzeń karmimy aby i nas karmiły, a siebie samych karmimy na żer dla robaków... Czy król, czy chudy żebrak, wszystko to jedno... to dwa dania na jednym zastawione stole... taki koniec wszystkiego... Człowiek może złowić rybę na robaka który zjadł króla, i zjeść rybę co połknęła tego robaka...

Król. Cóż przez to rozumiesz?

Hamlet. Tak sobie... chcę pokazać jakim sposobem król może przecisnąć się przez gardło nędzarza.

Król. Gdzie jest Poloniusz?

Hamlet. W niebie. Każ go tam poszukać... a jeśli tam nie znajdą, sam poszukaj na innem miejscu... W każdym razie jeśli go przed miesiącem nie odszukacie, to nosy wasze zwąchają go przechodząc przez galeryę.

Król. Idźcie poszukać tam ciała... (do Hamleta

Hamlecie, własne twoje bezpieczeństwo wymaga, abyś jak naprędzej odpłynął do Anglii.

Hamlet. Dobrze... odpłynę do Anglii.

Król (do dworzan). Nie spuszczajcie go z oka.

(Wychodzi).

(Zmiana dekoracyi, inna sala w zamku).

(d. n.)

KORESPONDENCYA.

Lwów, październik 1880.

Wystawa Sztuk Pięknych.—Smutne czasy.—*Złoty Cielec* Dobrzańskiego, *Świetne partye* Sewera.—Koncert p. Majewskiej i coś o reklamie.—Cisza w świecie literackim. Zakładanie nowych czasopism.—*Towarzystwo Spożywcze*. Śmierć D-ra Beisera, żyda i uchwalenie mu pomnika przez Radę miejską.

Spóźniłem się nieco ze sprawozdaniem z XIII-ej Wystawy Tow. przyjaciół sztuk pięknych, którą w początkach tego miesiąca zamknięto. Ogólne wrażenie, jakie każdy wynosił, było, iż oprócz portretów, wystawa zawierała mało dzieł wywierających głębsze i trwalsze wrażenie. Łatwo sobie wytłomaczyć zkąd to pochodzi. Tylko utwory cechę idealną mające sięgają w głąb duszy człowieka: im podnioślejsza jest myśl dzieła, im szczytniejsze uczucie, im wyższe natchnienie daje mu życie tem dalej sięga w jestestwo moralne, tem uroczyściej uderza, tem silniej wciska się w ducha naszego i zostawia w nim niezatarte ślady. Niestety! żyjemy w czasach, w których rozumowanie zastępuje rozum, mizerna arytmetyka 2 a dwa daje pięć, bierze miejsce wysokiej matematyki wymierzającej biegi światów i ukazującej nieskończoność: prawdziwą filozofię wypierają samolubne teorye, urządzające świat, aby zadowolnić najniższe namiętności człowieka. Ideały pierzchły w dziedzinie sztuki, zamiast uroczych krain fantazyi poetycznej, pełnych nadziemskich barw i świateł, krain zkąd spływały zbiedzonemu życiem człowiekowi strumienie pociechy, nadziei, otuchy, istny niebiański kordyał, pozostał nam trzeźwy, chłodny realizm, malujący nie czystą prawdę, nie życie prawdziwe, ale jego ciemne strony; nie człowieka pnącego się ku wyżynom, zdrowego, silnego, pełnego wiary i zapału, ale jego wrzody i jątrzące się rany. Dlatego dziś dzieło sztuki nie uczy nas, nie podnosi, nie uszlachetnia, ale osmuca i zniechęca, powiedzmy po prostu: demoralizuje. Istotnie, spojrzawszy na ogół obrazów wystawionych corocznie i na te, któreśmy niedawno w Auli szkoły politechnicznej widzieli, jedno uderza: to przepych szczegółów, wierność drobiazgów, attrybutów, znakomicie malowane meble, tkaniny, makaty, atłasy, koronki, uliczne błoto lub śnieg, wodę w kałuży, odrapane mury i t. p. Wśród tych sztuczek ginie sztuka i obraz staje się mniej lub więcej wyborną, kolorowaną po mistrzowsku fotografią. Do wyjątków zaliczymy Gersona *królowa Jadwiga usiłująca opuścić zamek Krakowski*. Może inaczej pojmowalibyśmy ten obraz, ale tak, jak począł go artysta, nie zostawia nic do życzenia zarówno pod względem rysunku jak malowania. Łzawe, błagające oczy Jadwigi mają wyraz tak przejmujący, że najchłodniejszego widza opanuje wzruszenie. Alchimowicza *Turczynka* z puginałem w ręku, przygotowana bronić się do ostatka, oddycha taką siłą, takim wyrazem uczucia, że jedną swoją osobą każe się domyślać całego strasznego dramatu i na długo przykuwa do obrazu.

Wymienimy jeszcze wdzięczny obrazek Sidorowicza: *Z namysłem*. Wiejska mieszkanka przybyła do kąpieli, rozebrana już, w ślicznym kąciku nad wodą, podczas gdy towarzyszka zachęca do prędkiego zanurzenia się, ona namyśla się i nóżką probuje temperatury spokojnych wód. Krajobraz miły i pogodny i scena sama wywołują przyjemne wrażenie.

Świetnie malowany obraz Chlebowskiego: *Sprzedaż niewolnicy* uderza wykończeniem artystycznem całości i szczegółów ale tej niewolnicy bym nie kupił tak mało ładna.

Bogatsza była wystawa w portrety, których kilka wymienić muszę. Portret Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego przez *Rodakowskiego* godny jest wszystkich dzieł tego znakomitego malarza. Nie możemy tego powiedzieć o portrecie marszałka krajowego Ludwika hr. Wodzickiego, malowanym przez *Siemradzkiego*. Układ sztywny, brak wyrazu i życia w twarzy sprawiają, że wszystkie zalety tego mistrza nie zdołały zatrzeć przykrego uczucia zawodu, jakiego się doznaje.

Pan *Andrzej Grabowski* wystawił aż trzy portrety: ks. Adama Sapiehy, Fr. Smolki i ks. Prowincyała Bernardynów. Dowodzą one że p. Grabowski zawsze jest jednym z najznakomitszych portrecistów polskich, gdy chce. Szkoda tylko że p. G. kaprysi czasami i nie zawsze chce. Na tem kończymy naszą pobieżną wzmiankę, przechodząc do innych spraw lwowskiego żywota, który smutno się wlecze śród niepokojów różnego rodzaju. Niepogoda i zimna bezprzerwne wystarczyłyby same żeby nas osmucić, a cóż dopiero gdy do nich przyłącza się szkarlatyna zjawiająca się zawsze w połączeniu z dyfteryą i to tak często, że zamknięto już kilka szkół wydziałowych. Wszystkie rodziny w bardzo naturalnej obawie, chociaż z wyjątkiem kilku wypadków w ogóle przebieg choroby jest do tyla łagodny że z nią walczyć można. Nie, bardzo więc usposobieni jesteśmy do zabawy. Prawda, żeśmy się przesycili fetami spowodowanemi przyjazdem cesarza, żeśmy trochę nadwerężyli mocno nadwerężonej już kieszeni. Mamy więc tylko w dyfteryi dobry pozór siedzenia w domu i naprawiania finansów. Ztąd ta cisza, panująca w Lwim grodzie. Teatr wprawdzie, oddawna otwarty, zgromadza dość liczną publiczność i zapowiada wiele nowości, dotąd jednak oprócz operetek niewiele rzeczy lepszych mogliśmy widzieć.

Z oryginalnych, bo o innych nie wspominam, dano *Złotego Cielca* przez Stanisława Dobrzańskiego. Syn redaktora *Gazety Narodowej* i dyrektora teatru p. S. Dobrzański, dziś ciężko chory i nie występujący, jest sam wybornym artystą w rolach charakterystyczno-komicznych. Ukształcony i znający wybornie scenę, umie on w utworach swoich tyle rozwinąć zręczności i tak je przepełnić szczerym humorem, iż publiczność biegnie z pośpiechem, gdy jego nazwisko, czy to jako autora czy jako aktora, na afiszu zobaczy. Zwyczajnie, dramatyczne utwory p. Dobrzańskiego zbliżają się mocno do farsy, tym razem jednak *Złoty Cielec* przeważa na stronę komedyi charakterystyką figur. Jest to obrazek ze świata giełdowego, pełen prawdy i wesołości, a odznaczający się effektami scenicznemi i żywym dyalogiem.

Drugą sztuką wystawioną na naszej scenie była komedya Sewera: *Świetne partye*. Drugą to rzecz daje tu Sewer i zawsze... bez powodzenia. W powieści manierowany, wyszukany, goniący za oryginalnością, znośnie się jeszcze czyta tam, gdzie daje obrazy z życia nie naszego. Ale komedya to rzecz trudniejsza niż obrazek powieściowy—to też pisma dramatyczne Sewera pisane z wielką pewnością siebie, słabo obmyślane, grzeszą najważniejszą rzeczą brakiem charakterów, bez których najlepsza fabuła komedyi nie uratuje. A tu i fabuła licha, stara jak świat: gonitwa panny za posażnym mężem i kawalera za posażną panną.

Niestety, aby stary temat odświeżyć, dużo potrzeba. Za parę dni mają przedstawić nowe dzieło Bałuckiego: *Sąsiedzi*, o których w przyszłym liście. Opera dotąd niewidoczna, ale czy ją mieć będziem tego roku, to pytanie—a choćby i była, runie niewątpliwie, bo miasto za małe, za ubogie i dziś zanadto wyczerpane, żeby ją podtrzymać. Mieliśmy teraz kilka debiutów operetkowych i dramatycznych, pierwsze niezbyt szczęśliwe, drugie lepsze. Cóż kiedy nie widzieliśmy dramatycznej bohaterki na której brak wszystkie nasze sceny chorują. Koncert panny Majewskiej, która i do Warszawy się wybiera, nastręcza mi sposobność wtrącenia słówka o wkradającej się do nas zarazie reklamy iście amerykańskiej. Nie wchodzę w to, czy panna Majewska gra pięknie lub nie; zdaje mi się że mogłaby być niepospolitą artystką, gdyby jej systematycznie nie psuto. Chodzi mi o to nieznośne roztrąbianie jej sławy, zahukiwanie publiczności przed koncertem i o artykuły z pochwałami tak hiperbolicznemi, piramidalnemi, kolosalnemi, że to rzuca cień na maszynistę kierującego tą fabrykacyą i lokowaniem kadzideł dziennikarskich. Pytamy się coby szanowny redaktor-fabrykant recenzyj napisał o Liszcie, Szopenie, Rubinszteinie, gdy wszystko, co o takich potęgach można napisać, wyczerpał na pochwały p. Majewskiej? Prosimy Boga, żeby jej te artykuły nie wpadły w ręce, w wiele osób i rzeczy bowiem przestałaby wierzyć. A szkoda by to była, bo talent jest istotny, a widoczna już za ozumiałość zniszczyć całą przyszłość może.

Ruch literacki słaby — drukują się w dziennikach... obietnice książek. Autor *„Marzycieli“* (sic) zapowiada na 1-go grudnia tygodniowe pismo beletrystyczne, *Świat powieściowy*, w którem, cieszcie się narody, będzie drukowana jego własna powieść. Domyślając się wielkiej wartości tej przynęty, dziwimy się odwadze autora *Myślicieli*, który także jako ich ojciec nim być musi, że występuje z nowem czasopismem. Istniejący już od lat 6-ciu *Tydzień polski*, bardzo w treść obfity i dobrze redagowany, choć nie przypada mi do serca kierunkiem, żyje osobistą ofiarą wydawców. Ale we Lwowie jest słabość zakładania nowych czasopism, bodaj na trzy tygodnie. Słabość ta szkodę przynosi, bo najheroiczniejsi prenumeratorowie tylokrotnie zrażeni, nie ufają w trwałość dzienników i rzadko się decydują na abonament.

Tak więc w dziedzinie sztuk i nadobnego piśmiennictwa mało teraz życia. Za to mógłbym wiele napisać o pracach na polu ekonomicznem i finansowem, boję się jednak znudzić szanowne czytelniczki oschłemi materyami. Nie mogę jednak nie wspomnieć o instytucyi, która piękne gosposie obchodzić może: chcę mówić o *Towarzystwie Spożywczem*, które właśnie odbyło walne zgromadzenie. W przeciągu dwóch lat Tow. doszło do tego, że ma już własną piekarnię we własnym domu i naturalnie tańszego dostarcza chleba. Ale ma ono pomimo widocznych korzyści, do zwalczenia uprzedzenie i nieporadność publiczności a niechęć kupców i dla tego zwolna się rozwija. Na przeszło 100,000 mieszkańców liczy Tow. zaledwie 500 członków. Dotąd oddało Towarzystwo Spożywcze wielką przysługę całemu miastu. Do zeszłego roku żydzi brali w zimie za czterometrowy sąg drzewa 18 złr. t. j. 12 rubli.

Minionego zaś roku Tow. mające wielki skład drzewa, mogło zbywać je po 14 złr., co zmusiło wszystkich wyzyskujących ludność handlarzy do

zniżenia ceny na 13 i pół złr. Że tak znaczne zniżenie jest prawdziwem dobrodziejstwem, nie potrzebuję dowodzić. Jasną jest przytem rzeczą, że członkowie mają w sklepie Towarzystwa wszelką żywność po zniżonych cenach. Gdyby to ludność zrozumiała raz przecie własny interes i przystępowała wszędzie do zakładania takich Towarzystw, jakże wielkie po kilku latach okazałyby się oszczędności! Ale nic podobno trudniejszego człowiekowi jak zdecydować się na to, co mu korzyść przynosi. Wielką stratę poniosło miasto przez śmierć D ra medycyny Beisera. Żyd, przywiązany do społeczeństwa, śród którego żył, za szlachetne postępowanie pozbawiony został posady lekarza wojskowego, a nawet więziony. Oddał się potem cały opiece najuboższej klasy ludności, niosąc obok lekarskiej pomocy pociechę moralną i nie szczędząc zasiłków materyalnych. Filantrop nie w słowach ale w czynach, życie swoje poświęcił biednym, sam biedny nad miarę. Nic dziwnego że mu lat temu parę nadano honorowe obywatelstwo i zaszczycono wyborem na członka Rady miejskiej.

Pogrzeb był wspaniały. Za trumną ubogiego żyda postępowały tysiączne tłumy wszystkich warstw ludności, delegacye stowarzyszeń i korporacyi, Rady miejskiej, Izby Adwokatów, Sądownictwa, zakładów izraelickich, straży ogniowej. Orkiestra Tow. Muz. *Harmonii* towarzyszyła zwłokom a mnóstwo wieńców okrywało trumnę. Najlepszy to dowód, że trzeba tylko takich szlachetnych ludzi, takich serc zacnych a różnice wszelkie ustąpią. Nazajutrz Rada miejska oddała mu cześć przez powstanie i uchwaliła *jednomyślnie* wznieść D-rowi Beiserowi pomnik kosztem miasta, a sędziwej siostrze nieboszczyka, która całe życie bratu poświęciła i pielęgnowała, wyznaczono dożywotnią pensyę 300 złr. Nigdy Rada miejska piękniejszej nie powzięła uchwały—społeczeństwo polskie nie jest niewdzięczne i nie patrzy kto robi ale co robi.

Przegląd literacki.

Gambetta, studyum z dziejów współczesnych Francyi przez J. K. Korwina *Piotrowskiego*. Kraków 1880 roku.

Nielicznie u nas pojawiają się dzieła dotyczące historyi lub literatury obcej. P. Piotrowski w swojem studyum podaje nam dzieje dziesięciu lat istnienia obecnej Rzeczypospolitej francuzkiej. Dzieje te mniej więcej znamy prawie wszyscy z gazet, na których nam nie zbywa, lecz pan P. zebrał je i ułożył w pewną organiczną całość, uwydatniając głównie czyny i zasługi wielkiego Francyi obywatela, któremu ona zawdzięcza po części swoje teraźniejsze świetne położenie.

Wracając się do studyum pana P., przyznajemy chętnie, że z młodzieńczym zapałem, z werwą iście gambettowską, przeprowadził swojego bohatera i przez zasadzki czyhających na niego Niemców, i przez stokroć niebezpieczniejsze burze stronnictw dotąd jeszcze jawnie lub skrycie szalejących po Francyi. Dzięki panu P., że w licznie przytoczonych mowach Gambetty dał poznać, czego chce były dyktator, jaki ma program polityczny. Otóż pragnie on przedewszystkiem utrzymania Rzeczypospolitej, naturalnie demokratycznej, bo o innej w dzisiejszych czasach mowy być nie może; w tym celu pragnie dwóch rzeczy: światła i siły, czyli innemi słowy, oświaty ludowej, choćby przymusowej, i ogólnej powinności służenia w wojsku. Gambetta, jako szczery demokrata i republikanin, jako Francuz gorąco kochający swą ojczyznę, czego dowiódł i słowem i czynem, wreszcie jako człowiek niezwykłych zdolności, licznych ma nieprzyjaciół, i to nietylko we Francyi, ale i w innych krajach, a nawet... czybyście temu uwierzyli czytelnicy... i u nas pewne dzienniki wcale nie okazują mu życzliwości, wyrażając się o nim zawsze z jakimś przekąsem; jedne widzą w nim po prostu blagiera drugie przyczajonego Cezara, a inne jeszcze dopatrują w nim nieprzyjaciela religii. Musiał to ostanie uważać i pan P. kiedy broni Gambettę od zarzutu niereligijności, dowodząc, iż jest on wprawdzie nieprzyjacielem klerykałów, ale bynajmniej na katolicyzm nie powstaje. A to rzecz zupełnie inna.

Jakkolwiek sympatyzujemy z autorem, który swoją książkę wypuścił w świat pod godłem: *Amor patriae nostra lex*, nie możemy jednak pominąć uwagi, że jego pracy brak dokładności naukowej, tak koniecznej w tego rodzaju studyach. O powodach wojny Francyi z Niemcami autor wyraża się zbyt ogólnikowo; klęski jakie poniosła pierwsza nie są dostatecznie umotywowane, powstanie komuny paryzkiej także niewyjaśnione, a to co autor mówi o międzynarodówce, socyalistach, komunistach i t. d. wcale nie jest traktowane ze stanowiska ekonomii politycznej, którą przecież sam uważa za jedyne lekarstwo mogące ochronić społeczność od zgubnych teoryi, a co większa, od ich praktykowania. Wszystko co jest i jakie jest, musi mieć racyą bytu, więc i te smutne objawy *walki kapitału z pracą*, muszą mieć swoje powody; otóż te powody usuwać lub stopniowo zmniejszać, zadaniem być winno naszej epoki. O tem zapewne wie autor tak dobrze, jak i piszący te słowa, czemuż jednak nie wyraził jaśniej tej myśli w swojem studyum? Że miał na widoku samego Gambettę, to go nie usprawiedliwa; owszem gdyby był uwydatnił powyżej wymienione szczegóły, bohater jego w tem właściwszem ukazałby się świetle.

J. Pracki.

Z kraju i z zagranicy.

✝ W 239 N rze „Echa“ zamieszczony jest przekład ślicznego wiersza Alfreda de Musset, pod tytułem „Rappèle toi“ podpisany pseudonimem Hajota. Tenże sam wiersz przełożony przez naszego poetę-rzeźbiarza Teofila L. pod lepiej odpowiadającym duchowi poematu tytułem: Pamiętaj! bez porównania i wierniej i piękniej ułożony został. Oto wierny jego odpis:

Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie! kiedy jutrzenka drżąca,
Uprzedzi słońce niebios błękitną stroną,
Pamiętaj o mnie, gdy ciemna noc milcząca,
Przejdzie po niebie pod świetną gwiazd zasłoną,
Kiedy żądza rozkoszy przyśpieszy piersi tchnienie,
Gdy w marzeniach wieczora szare przeciągną cienie,
Wśród lasów nocnej ciszy,
Niech ucho twe dosłyszy:
Pamiętaj!

Pamiętaj o mnie! gdy zwykłym losem świata,
Pójdziem, o luba! a każde w swoją stronę,
Gdy ciągły smutek, wygnanie, długie lata,
Przetrawią bólem to serce zrozpaczone.
Śnij o miłości mojej, o ostatniem „bądź zdrowa!
Czas i przeszłość są niczem gdzie się miłość przechowa,
To serce się nie znuży,
Ono ci wciąż powtórzy:
Pamiętaj!

Pamiętaj o mnie! kiedy przebywszy wiele,
Spoczynku zaznam, na zawsze wierny tobie,
Pamiętaj o mnie! kiedy na moim grobie
Samotne kwiecie przed tobą liść rozściele.
Ty mnie nie ujrzysz, luba, lecz dusza co nie ginie,
Z dalekich krańców świata jak cicha siostra spłynie,
I wśród nocy milczącej,
Usłyszysz głos szepczący:
Pamiętaj!...

Prześliczny ten przekład jest prawie dosłowny.

✝ W numerze 42 *Tygodnika powszechnego* czytamy artykuł J. I. Kraszewskiego, p. t. *Wieczorne gawędy*. Numer pierwszy poświęcony jest nader ważnej sprawie wpływu duchowieństwa na lud, do którego osiągnięcia najlepiej posługuje kazalnica, mogąca do pewnego stopnia zastąpić szkołę.

„Widzimy przecież ogromne massy ludów, mówi czcigodny Jubilat, którym dotąd oświata na sposób apteczny podzielona na specyfiki i dozy nie była dostępną, które czerpały naukę z życia, wiadomości z podań i rozmowy, wyrabiały się niemal samoistnie nic niby nie umiejąc, a mimo to odgadując i przyswajając sobie wiele. Dość spojrzeć na nasz lud, w przeważnej większości niepiśmienny, a mimo to częstokroć zdumiewająco rozwinięty. Zapewnie że szkoła jest najdzielniejszym środkiem szerzenia oświaty, lecz w jej braku, niech jak w wiekach średnich, kazalnica stanie się środkiem moralizująco-oświecającym. Aby, mówi dalej, kazania tak błogi wpływ wywierały, nie potrzeba nawet kapłanów uczonych ale serdecznych i gorącej wiary, umiejących i chcących zejść do poufałej niemal z ludem pogadanki. Z tego tonu serca łatwo bardzo podnieść się mogą ku niebiosom i słuchaczy pociągnąć za sobą. Przeciwnie gdy w kazaniach mowa o zepsuciu i niedowiarstwie wieku, o bezbożnej filozofii o jakiej wieśniacy pojęcia nie mają, drzemią lub po za kościołem czekają końca, bo słowa oderwane obijają się o uszy, a nieprzygotowani nie są w stanie pochwycić i zrozumieć myśli. „Do ludu najlepiej mówić o prawach i obowiązkach; któż u nas wie że są obowiązki, gdy o prawach tylko naucza propaganda anarchiczna wciskająca się przez wszystkie szczeliny. A jak łatwo byłoby naukę obowiązków illustrować nauką i przykładem Zbawiciela; jak tu życie samego ludu obfitego dostarczyłoby kolorytu!.. Aby to wykonać trzeba tylko tej wielkiej miłości, tego serdecznego ciepła bez którego słowo przebrzmiewa marnie, trzeba tylko natchnienia wypływającego z wielkiego przejęcia się wzniosłem i świętem posłannictwem kapłana.

Streściwszy artykuł, możemy powstrzymać się od rozpisywania się nad jego donioslością, Czytelnicy sami ocenić ją potrafią.

✝ W jednem z pism codziennych było ogłoszenie, iż poszukiwaną jest osoba młoda, wykształcona, i z *językiem niemieckim...*

Jakim sposobem znaleźć się może ktoś taki, coby był Polakiem a miał język niemiecki, zadania trudne do odgadnienia. Sądzimy, że nawet operacya urznięcia języka Niemcowi a wprawienia go człowiekowi innej narodowości na nicby się nie przydała.

✝ Przed parą tygodniami wyszedł z druku w Paryżu nowy poemat Wiktora Hugo, p. t. *L'Ane* (Osieł). Gdy się pierwsza o utworze tym rozeszła wiadomość, dzienniki wzięły podany tytuł za omyłkę drukarską, i tłomaczyły że zapewnie tytuł będzie *L'Ame* (Dusza) nie przypuszczając żeby osiwiały

wieszcz obrał sobie *Osła* (l'Ane) za bohatera poematu. Następnie jednak pisma musiały odwołać zaprzeczenie. Osieł ten, jak to bywa w bajkach, obdarzony jest mową i talentem krytyka; prowadzi rozmowę z Kantem, słynnym filozofem, niemieckim z XVIII wieku, dzieląc się z nim wrażeniami jakie świat i ludzie na nim sprawiają. Osieł wszystko widział i rozważał, przewertował filozofią, prawo, medycynę, teologię, nauki przyrodzone i matematyczne, i z niczego nie jest zadowolniony, ani z ludzi ani z ich systematów, na których zgłębianiu tyle tylko zyskał że mu uszy urosły, ale jak był tak pozostał osłem. Pomimo to nie przestaje ślęczyć nad księgami, bo koniecznie pragnie coraz rozleglejszej wiedzy: Tom cały obejmuje 175 stronnic, z tych 150 zajmują dowodzenia osła, w których dotyka wszystkich zadań ludzkości oraz rozbiera wszelkie kwestye zasadnicze. Człowiek nic nie wie i choć ślęczy nad księgami, niczego się nie dowiedział, niczego nie odgadł, żyje jakby w szczelnie zamkniętem, wysokiemi murami obwarowanem więzieniu; z którego tylko przez dziurkę od klucza może wyjrzeć na zewnątrz—ale bramy więzienia swego nie przekroczy nigdy, bo klucz od niej od wieków i na wieki zaginął... I na co tworzyć domysły i starać się zbadać zagadkę wiecznej mądrości i dociekać tajemnic samego Boga, jeźli wszystko to nie ma wpłynąć na poprawę człowieka. Na co troszczyć się jaka będzie szkoła i czego nauczy, niech wychowańcy jej będą głupi, ślepi, głusi, idyoci, *byle tylko byli dobrzy*, takie jest przekonanie osła, przekonanie niezłomne, na którego poparcie powołuje się na zaszczyt jaki uczynił mu Chrystus, odbywając na nim wjazd do Jerozolimy.

Dalej uczony osieł krytykuje ostro zasady dzisiejszego nauczania, które tylko męczą dzieci, paczą ich serca i zakuwają głowy. I z geniuszami nie lepiej jak z dziećmi świat się obchodzi; pragnie przykroić ich do swej miary i rutyny. Niech tylko pojawi się jakiś geniusz wielkim jaśniejący blaskiem krzyczą „gwałtu!" jakby obawiając się pożaru. Sokratesa zamęczyli, Dantego zrobili kacerzem. Biada geniuszom!

Według wszelkich zasad sprawiedliwości, nie osieł ale człowiek, „to dziecię olbrzymów i małpy" powinien nosić na głowie parę długich, włochatych uszu —bo jest i będzie zawsze miernością, dumny ten „dwunożnik" mieniący się królem stworzenia.

Dalej dowodzi że w organizacyi społeczeństw, trzymano się najfałszywszych systematów—wszystko stanowi pochodzenia. Człowiek jest nadzwyszaj próżny i zadowolniony sam z siebie a owa zachwalona filozofia ludzka, na tem zasadza się jedynie, aby się burzyć i buntować, gdzie należałoby rozważać, a poddawać się i milczeć, gdzieby działać potrzeba. Dowodzenia swoje, osieł kończy oznajmieniem: iż wiek obecny ceni tylko złoto, a jedyną zasługą tu na ziemi jest bogactwo. Cnota i występek równoważą się w obec złota.

Kant, jak prawdziwy niemiecki filozof, wysłuchał cierpliwie długich dowodzeń osła, gdy tenże odszedł zadumał się głęboko, zapytując się czy wielkouszny osieł nie ma rzeczywiście słusznych powodów do zwątpienia i rozpaczy—i wtedy to występuje na scenę sam Wiktor Hugo, jest to ostatni rozdział poematu, tytuł jego „Bezpieczeństwo myśliciela." Poeta pociesza osła i filozofa, dowodząc że nawet ze zła wyradza się dobre, że nawet pozorne cofanie się prowadzi do celu. Z ciemnej mgły wysuwa się błękitne niebo — i nawet mętne teorye i złe czasy, posuwają nas na przód. Wszelka piękność najpierw ze szkaradnych wysuwa się obsłonek, zło jest tylko przejściowe i powoli przemieni się w dobre — trzeba tylko być cierpliwym i wytrwałym—nie rozpaczać ufać i nie potępiać!..

Poeta mówi w przedmowie że pierwszą myśl napisania tego poematu, powziął jeszcze przed trzydziestu laty, napisał przed dwudziestu, nadał stanowczą formę w ostatnich latach wygnania, a obecnie wykończył przerabiając i dodając niektóre rozdziały i przedmowę.

+ Gazeta Augsburska pisze iż według najnowszych badań historycznych, przodkowie hrabiego Moltke byli rozbójnikami morskiemi. W XIV wieku, skutkiem wojen prowadzonych między miastami hanzeatyckiemi i państwami skandynawskiemi, utworzyło się stowarzyszenie korsarskie, słynne z niezwykłego zuchwalstwa i rozbojów, na morzu północnem. Książe Jan Meklemburgski otworzył porty swoje dla tych rozbójników, których szeregi składały się z największych łotrów piratów i awanturników. Między nimi znajdował się jeden Manteufel i kilku Moltke'ów z Meklemburga. Zgraja ta rozporządzała znacznemi środkami i wkrótce stała się postrachem i groźbą dla wszystkich miast handlowych morza Baltyckiego i Północnego. Zaledwie długie lata krwawych bojów zdołało położyć kres ich rozbojom. W r. 1392, komendant Stralsundu, zdoławszy pojmać pewną liczbę tych korsarzy, kazał powsadzać ich w puste beczki, tak żeby tylko głowy po nad dnem wychodziły i ustawić je szeregiem na wybrzeżu w porcie; potem odcięto głowy wszystkim tym rozbójnikom, w których liczbie kilku nosiło nazwę Moltke, Piękna genealogia!...

Nowe wydawnictwa.

Zwracamy uwagę czytelników naszych na ogłoszenie w dzisiejszym numerze o „Najnowszej Metodzie do nauki języka niemieckiego bez pomocy nauczyciela w 3-ch miesiącach, opracowanej przez Platona v. Reussnera".

Zeszyt pierwszy powyższej metody, który tylko co właśnie opuścił prasę, pisany jest na podobieństwo gramatyki Ollendorf'a i obejmuje 7¼ arkuszy druku większego formatu. Treść zeszytu tego, stanowiąca kurs niższy, zawiera ćwiczenia przeznaczone przeważnie do konwersacyi niemieckiej bez wszelkiej nawet pomocy nauczycielskiej. Przy pomocy podręcznika tego, mogą się uczyć nietylko osoby dorosłe, lecz także i dzieci z wszelką łatwością, osoby nawet najmniej zdolne, nie mające jeszcze pojęcia o języku niemieckim, nie znajdą żadnej trudności w nauce. W tym celu bowiem napisał autor cały zeszyt pierwszy literami łacińskiemi, objaśnił wymowę przy każdym wyrazie mającym odmienne brzmienie od polskiego, zestawił ćwiczenia z wyrazów najprostszych t. j. z części mowy nieodmiennych, a z odmiennych tylko w najłatwiejszych zwrotach mowy przyjętych i używanych powszechnie według danych prawideł gramatycznych. Ku końcowi umieścił autor kilka anegdotek i powiastek bardzo przystępnych dla początkujących do wprawy w płynnem czytaniu i opowiadaniu po niemiecku. Nareszcie dołączył klucz rozwiązujący ćwiczenia polskie tłomaczone na język niemiecki. Zeszyt II-gi i III-ci powyższej metody, stanowić będzie kurs wyższy i pisany będzie literami niemieckiemi na sposób metody Toussaint Langenscheidt'a.

Wypisy z autorów starożytnych dla użytku młodzieży, ułożył Kazimierz Kaszewski. Praca ta godna największego zalecenia, zawiera wyjątki: z Waleryusza Maksyma, Ksenofonta, Herodota, Liwiusza, Platona, Cycerona, Pliniusza, Plutarcha i Korneliusza Neposa. Wybór przedmiotów bardzo dobry, tłomaczenie wzorowe i bardzo wierne.

Beatriciana — uwagi i rady dla młodych dziewczątek na drogę życia napisał Maryan M.....ski.— Sam tytuł objaśnia treść dziełka dzielącego się na trzy części pod tytułami: — Dni wiośniane, Duch i Ciało, Anielstwo Ducha. Wydanie ładne odpowiada pięknym myślom dobrym językiem wypowiedzianych.

Loteryjka literacko artystyczna. Zabawa kształcąca i zajmująca nietylko dla dzieci ale i dla dorosłych ze 108 fotografiami mężów; ułożona przez S. A. Prószyńskiego

Gra w tę loteryjkę historyczno-literacką idzie zupełnie podobnie jak w loteryjkę zwyczajną. Przytem osoby do gry należące, bawiąc się, z największą łatwością i niepostrzeżenie nabywają wiadomości z historyi literatury ojczystej. Gra ta została już wypróbowaną w kółkach towarzyskich (z osób dorosłych i młodzieży) i ogólnie bardzo się podobała.

Zawiadomienie.

W odpowiedzi na zapytania Korespondentów, podaję do wiadomości, że pan *Jan Hennel mechanik* zamieszkały *w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej № 63* — w pobliżu Ogrodu Saskiego, przyjmuje do naprawy maszyny do szycia wszelkiej konstrukcyi. Nadsyłane z prowincyi winny być pomieszczone w pudłach, okryte płótnem i dobrze opakowane sianem, aby zbyt wielkiemu w podróży nie uległy wstrząśnieniu; pedałowe zaś należy odśrubować od stołu i same nadsyłać—przytem uprasza się o adres wyraźnie napisany.

Za dobre wykonanie naprawy, umiarkowaną cenę i uczciwy stosunek z interesantem, poręcza

J. K. Gregorowicz
Redaktor Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i dubeltowy arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 4 Ноября 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 47 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

F. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Ja właśnie zostawałam pod wpływem tego zadowolnienia i tego miłego spokoju, dla tego też skromne moje śniadanie smakowało mi bardzo, i doznałam prawdziwej przyjemności gdy mi uczesano poplątane włosy, potem zmęczona tem trochę położyłam się znowu i czekałam niecierpliwie chwili w której usłyszę głos mego opiekuna. Bo dziwna rzecz, dziś tak gorąco pragnęłam go zobaczyć jak wczoraj obawiałam się tego; nie mogłam nawet zrozumieć jak mogłam być tak bardzo ograniczoną, aby dobrowolnie pozbawiać się tego co mi sprawiało największą przyjemność. Każdy odgłos kroków na schodach, przyśpieszał bicie mego serca, każde skrzypnięcie drzwi wywoływało rumieniec na moje policzki; przysłuchiwałam się z najżywszem niepokojem czy lekkie zapukanie do drzwi nie zapowie mi odwiedzin kuzyna Ulryka. W takiem usposobieniu umysłu zastała mnie kuzynka Maryanna gdy weszła do mnie rano.

— O! zawołała, jakaż to szczęśliwa zmiana! Jesteś prawie równie świeżą jak dawniej, Doro.

— Miss Fleming spała dziś bardzo spokojnie, powiedziała Joanna, nie przebudziła się ani na chwilę, a teraz herbata smakowała jej bardzo, wszak prawda, miss?

— O! dość na nią spojrzeć aby nabrać przekonania że jest znacznie lepiej, nawet twarz zdaje się pełniejsza. Muszę też zanieść natychmiast tę dobrą wiadomość memu bratu, który czeka tylko na moje sprawozdanie.

— Więc kuzyn Ulryk już wychodzi? zapytałam zasmucona, ale kuzynka Maryanna nie była biegłą w odgadywaniu tego co się w sercu innych działo.

— Tak, czeka tylko na moje sprawozdanie co do twego zdrowia. Byłby cię sam odwiedził, gdyby obecność jego nie była dla ciebie tak bardzo przykrą, jak przekonałaś go o tem wczoraj. Doprawdy zadziwiłaś mnie bardzo, Doro, i wyznaję że cie nie mogę zrozumieć.

— Żałuję bardzo... zaczęłam mówić, ale nie dokończyłam, bo kuzynka moja już wysunęła się z pokoju, a w parę minut później, usłyszałam turkot odjeżdżającego powozu.

O! jakiż ogarnął mnie smutek! Jakże wyrzucałam sobie moje szaleństwo, skłaniające mnie do opierania się uczuciu które Bóg rozbudził w mojem sercu.

Nic mi już teraz nie sprawiało przyjemności, oczekiwałam go tak niecierpliwie, tak byłam pewna że go zobaczę, że jego życzliwe spojrzenie przyniesie mi spokój i podwoi siły; łudziłam się nawet nadzieją pozyskania pewności że nie zechce aby jakaś obca kobieta stanęła między nami, i czułam że to zapewnienie wróci mi zdrowie i przyniesie mi szczęście.

Teraz kiedy runęły moje zamki na lodzie, kiedy doznałam tak gorzkiego zawodu, siły opuściły mnie znów zupełnie, i leżałam przez kilka dni smutna osłabiona, pogrążona w posępnych myślach. Potem przyszło mi nagle do głowy że kuzyn Ulryk może wejdzie do mnie niespodziewanie, i na policzki moje zaczął występować coraz silniejszy gorączkowy rumieniec, a oczy nabierały chorobliwego blasku. Po południu miss Ford zapytała mnie ironicznie.

— Czy nie zechcesz mi powiedzieć, Doro, jak długo jeszcze zamierzasz odgrywać tę dziwną komedyę, dotyczącą się mego brata? Zdajesz mi się znacznie gorzej jak byłaś rano; i uprzedzam cię że przywołam pana Austin, jeżeli i dziś jeszcze będziesz sprzeciwiać się temu aby cię Ulryk odwiedził. Nie mogę ściągać na siebie odpowiedzialności za twoje zdrowie.

Wtenczas, rzecz trudna do pojęcia, znikła nagle niecierpliwość z jaką oczekiwałam kuzyna Ulryka, nie życzyłam nawet sobie stać się przedmiotem jego spostrzeżeń, nie śmiałam jednak powiedzieć tego, gdyż miss Maryanna mówiła bardzo poważnie:

— No jakże! co postanowiłaś? Chociaż to śmieszność, doprawdy, pytać się o zdanie takiego dziecka jak ty jesteś jeszcze. Kuzyn twój wróci za chwilę czy mam go prosić aby przyszedł do ciebie, czy też posłać po pana Austin?

— O! proś kuzyna Ulryka, zawołałam cała drżąca.

Wszedł do mego pokoju późnym już wieczorem. O! jakże wiele rzeczy pragnęłam mu powiedzieć! a jednak kiedy przywitawszy się zemną usiadł przy mojem łóżku i wziął mnie za rękę, zamknęłam oczy i milczałam.

— Cóż cię mogło doprowadzić do takiego wzburzenia? zapytał po zbadaniu mego pulsu.

— Nie wiem. O! nic! odpowiedziałam cicho, a serce zaczęło mi bić tak silnie jakby chciało rozsadzić piersi, i łzy popłynęły z pod zamkniętych powiek.

— Zapewnie masz wszystko czego sobie życzysz, moje dziecię? zapytał łagodnie.

— Tak, wszystko.

— Czy nie doznałaś jakiej przykrości?

— Nie:

— Jesteś cierpiąca i czujesz się bardzo osłabioną, ale niech cię to nie przeraża. Miałaś silną gorączkę, i upłynie jeszcze kilka dni zanim przyjdziesz do siebie. Mam jednak nadzieję że jeżeli będziemy mieli równie piękne dni jak teraz, będziesz mogła wkrótce przejechać się powozem, a przekonasz się po tych przechadzkach, że równie prędko odzyskasz siły jak je utraciłaś. Dla czego masz ciągle zamknięte oczy? Czy cię światło razi?

— Tak; nie mogę wcale czytać.

— I nie powinnaś nawet próbować tego. Czy Joanna nie mogłaby ci czytać głosno?

— Czyta tak monotonnie że jej słuchać nie mogę.

— Szkoda, bo przykro jest być pozbawionym wszelkiej rozrywki umysłowej, odpowiedział z wyrazem współczucia.

Umilkliśmy, oboje jedną zajęci myślą. Kuzynka Maryanna mogłaby zrobić mi tę przyjemność, ale tak mnie jak kuzynowi Ulrykowi nie przyszłoby nigdy do myśli aby ją prosić o to. Jej zadaniem było krzątać się żwawo po całym domu, wydawać służącym rozkazy i czuwać nad tem aby każden z nich wywiązywał się dobrze ze swych obowiązków. Ale siedzieć przy chorej, doglądać jej, zabawiać czytaniem, było rzeczą niepodobną dla niej, niezgodną z jej ruchliwem usposobieniem, i prędzej zażądałabym aby Wheler uczesał mi włosy, niżeli aby kuzynka Maryanna zabawiała mnie zajmującą rozmową lub czytaniem.

— Będę się starał jakoś na to poradzić, Doro, odezwał się kuzyn Ulryk po chwili milczenia. Potem wstał i żegnając się pocałował mnie w czoło; ale był to pocałunek tak zimny, tak ceremonialny, że odżywił wszelkie moje obawy i udręczenia, i nasunął na myśl pytanie, jakimi pocałunkami obdarzał tę osobę o której mówiła miss Upjohn. Następnie zaczęłam płakać rzewnie i zasnęłam jak spłakane dziecko.

Odtąd każdy dzień przynosił mi dwa ważne dla mnie wypadki, to jest ranną i wieczorną wizytę kuzyna Ulryka! przez resztę czasu oczekiwałam niecierpliwie jego przybycia, a jednocześnie obawiałam się chwili w której go zobaczę; słowem, przyszło do tego że sama się nie mogłam zrozumieć ani zdać sobie sprawy z moich uczuć, i zaczęłam się obawiać czy to nie są początki jakiej umysłowej choroby.

W kilka dni później dowiedziałam się co znaczyły słowa wyrzeczone przez kuzyna Ulryka, kiedy szło o lektorkę dla mnie: Będę się starał na to poradzić. Ale mój opiekun przystąpił do tego przedmiotu tak ostrożnie, z takiem wahaniem, że moje zazdrosne i podejrzliwe serce, zaczęło się zaraz buntować, i postanowiło odrzucić wszelkie jego propozycye.

Kuzyn Ulryk powiedział mi naprzód że odzyskuję siły daleko wolniej niż się tego spodziewał, a potem dodał:

— Obawiam się czy się nie nudzisz, czy się nie czujesz zbyt samotną. Bezczynność i samotność muszą ci bardzo ciężyć po tak czynnem życiu jakie wiodłaś na pensyi, wszak prawda Doro?

— Tak, życie jest smutne; odpowiedziałam z westchnieniem.

— Nie masz przy sobie nikogo z kim mogłabyś porozmawiać, lub ktoby ci coś przeczytał, i zapewnie tęsknisz za swemi towarzyszkami.

Nic na to nie odpowiedziałam, pomimo że obraz Felicyty zarysował się silnie w mej pamięci.

— Znam młodą osobę bardzo zacną i bardzo miłą, która życzyłaby sobie bardzo poznać się z tobą. Miałem już zamiar przedstawić was jednę drugiej, ale twoja choroba przeszkadzała temu. Jest ona starsza od ciebie o trzy może lata, ale to może jeszcze lepiej; słowem sądzę że będzie to dla ciebie pod każdym względem najlepsza towarzyszka. Czy sobie życzysz aby przyszła do ciebie jutro lub pojutrze po południu? mogłaby ci coś przeczytać i porozmawiać z tobą.

Kuzyn Ulryk nie należał do ludzi lubiących trwonić czas na niepotrzebne słowa, dla tego też trudno mu było zawsze wywiązać się z zadania wymagającego pewnej płynności wysłowienia, a teraz jeszcze nie wiedział jak przyjmę jego propozycyę, i dla tego wahał się trochę szukając wyrażeń któreby mnie zachęcić mogły.

Moja szalona głowa wyciągnęła natychmiast

wniosek, że tą zacną, miłą, najlepszą przyjaciółką, była jego narzeczona, i że będzie wymagał abym ją kochała, poważała, a może nawet była jej posłuszną jak matce. Widziałam w tem zniewagę, szyderstwo, zadrżałam z oburzenia, twarz moja pokryła się silnym rumieńcem, a gniew wycisnął mi łzy z oczu, i nie zdolna zapanować nad sobą zawołałam ze złością:

— Nie chcę jej widzieć, nie potrzebuję jej widzieć, nie chcę aby tu przychodziła, zamknę jej drzwi przed nosem!...

— Doro! zawołał zdziwiony.

— Możesz myśleć o mnie co ci sie podoba, kuzynie Ulryku, odpowiedziałam łkając; nie troszczę się o to wcale, ale nie chcę widzieć żadnej z twoich młodych znajomych, najlepiej więc aby tu nie przychodziły wcale.

Potem wstydząc się mej niegrzeczności i gwałtowności, ukryłam twarz w poduszki, i pozostałam tak już ciągle z obawy aby nie spotkać spojrzenia kuzyna Ulryka.

Nie wiem co mój opiekun pomyślał o mnie, ale wnoszę że musiałam mu przypomnieć młodego niedźwiadka (czemu nie dziwiłabym się wcale) bo nawet nie zrobił mi żadnej uwagi ani też wymówek.

Siedział milczący przy mojem łóżku, a pomimo że zakryłam sobie oczy, zdawało mi się że widzę na drogiej jego twarzy wyraz poważny i smutny zarazem. Więc to w ten sposób spełniałam mój obowiązek względem niego? pomyślałam, i przeniknęło mnie uczucie dotkliwego wstydu.

— O! przepraszam! zawołałam przerywając milczenie, ale nie odsłaniając twarzy zalanej łzami.

— Nie kłopocz się tem, odpowiedział z niewysłowioną słodyczą. Sądziłem że towarzystwo osoby nie wiele od ciebie starszej, sprawi ci przyjemność, ale widzę że się pomyliłem. Jestem pewny że nie powiedziałabyś nic podobnego gdybyś znała miss Raymond, teraz jednak idzie mi głównie o to abyś była zupełnie spokojną, bo tym jedynie sposobem możesz odzyskać zdrowie i siły. Czy siostra moja powiedziała ci że pan Bertram dowiadywał się dziś o ciebie?

— Nie, odpowiedziałam głosem drżącym od wzruszenia.

— Był bardzo niespokojny o ciebie, Doro, i musieliśmy codzień posyłać do Oxley buletyny o twojem zdrowiu. Wszak lubisz pana Bertram'a, moje dziecię?

— O! tak, odpowiedziałam nie wiedząc co mówię gdyż byłoby to dla mnie zupełnie obojętną rzeczą gdyby pan Bertram znajdował się w Ameryce, lub nawet dalej jeszcze.

— Dobranoc, moje dziecię, rzekł kuzyn Ulryk, powstając. Nie dręcz się myśląc o miss Raymond, lub o czembądź innem. Bądź pewną że nikt nie będzie się sprzeciwiać ani twoim upodobaniom ani twoim uczuciom, moja droga Doro, dopóki zostawać będziesz pod moją opieką.

Wyszedł zanim zdobyłam zdobyć się na tyle odwagi aby odsłonić zapłakaną twarz moją, i okazać mu tym sposobem że czekam na pocałunek który otrzymywałam zawsze na dobranoc.

— Przynoszę dziś znów inne lekarstwo, rzekła Joanna, podając mi w godzinę później jakąś bladoróżową miksturkę; wnoszę z pozoru zdaje mi się że musi być bardzo smaczna.

Przy flaszeczce znajdowała się w kopercie recepta którą odesłano z apteki, wyjęłam ją prawie machinalnie. Wyrazy łacińskie były dla mnie niezrozumiałe, ale pismo kuzyna Ulryka, tak dobrze mi znane, sprawiło na mnie prawie tak głębokie wrażenie jakby to były słowa wychodzące z ust jego.

Wpatrywałam się w moje nazwisko położone u góry recepty, i w nazwisko mego kuzyna znajdujące się u dołu, a wpatrywałam się tak długo, że w końcu oczy moje zaczęły się pokrywać jakąś mgłą, i zdawało mi się że widzę palce kuzyna Ulryka, kreślące tę receptę. Czy też pisząc ją myślał o mnie? Czy niecierpliwość i gburowatość z jaką odrzuciłam jego propozycyę a nie nasunęły mu myśli że nie zasługuję na to co dla mnie czyni?

Dręczyłam się myślą, że bezwątpienia postanowił nie kłopotać się o mnie więcej, i z tego powodu spędziłam całą noc bezsennie: położywszy twarz rozpaloną na tem tak drogiem dla mnie piśmie, na które jednak zapewnie aptekarz spoglądał tak obojętnie jakby na coś bardzo pospolitego, i zadawałam sobie pytanie jakim sposobem mógłby ktoś patrzyć obojętnie na własnoręczne pismo kuzyna Ulryka, i zdawało mi się że nawet aptekarz musiał doznawać pewnego wzruszenia, oglądając wyrazy skreślone tą drogą ręką.

Trudno zaprzeczyć że takie uniesienia nad ćwiarteczką papieru, były prawdziwem szaleństwem, i nie zdaje mi się aby prócz mnie jakaś inna kobieta doszła do podobnego stopnia egzaltacyi.

Nie potrzebuję mówić że podobne myśli i uczucia nie mogły wpłynąć pomyślnie na moje zdrowie, pomimo że Joanna podawała mi najsumienniej w oznaczonych godzinach ową różową miksturkę. Ciągłe rozdrażnienie i bezsenność były właśnie wrogami sprzeciwiającemi się temu abym odzyskała zdrowie, i nawet doktór Ford nie mógł ich zwyciężyć: skoro też odwiedził mnie nazajutrz rano, znalazł mnie gorzej niż byłam wczoraj.

— Powiadasz że było gorzej w nocy, odezwał się wysłuchawszy sprawozdania Joanny; i dla czegoż to? co mogło być tego powodem? Czy miss Fleming utrudziła się czem zbytecznie?

— Nie wiem tego, ale to pewna że spała najdłużej przez pół godziny, a przez resztę nocy wzdychała i jęczała czy też płakała tak że aż serce bolało słuchając tego. Chciałam uwiadomić o tem pana, ale miss Fleming nie pozwoliła na to.

— Pod tym względem nie powinnaś stosować się do rozkazów miss Fleming, odpowiedział kuzyn Ulryk. Potem nastąpiły zwykłe badania doktorskie, zmienienie lekarstwa i przepisanie mi innej diety.

Pomimo to bardzo wolno odzyskiwałam siły, chociaż mój nieoceniony opiekun starał się usilnie abym odzyskała zdrowie, i myślał tylko o tem aby mi zrobić jakąś przyjemność. Nie zbywało mi na niczem z tych rzeczy które można dostać za pieniądze; przynoszono mi najpiękniejsze kwiaty i owoce, najwyszukańsze przysmaki, wszystko to jednak nie sprawiało mi przyjemności, wyjąwszy jeżeli kuzyn Ulryk dał mi kwiatek który nosił w dziurce od guzika, lub też gdy sam wybrał i przyniósł mi jakiś owoc; w tenczas przyjmowałam z radością tę jego ofiarę, chociaż zwykle wyciskała mi łzy z oczu.

Zamiast więc odzyskać trochę sił, ciała i kolorów, jakby to być powinno, leżałam jeszcze w łóżku we dwa tygodnie po owym dniu w którym tak nagle dostałam gwałtownej gorączki i maligny, równie bezsilna, blada i wychudzona jak wówczas gdy odzyskałam przytomność. Widziałam że to wszystko jest niezrozumiałem dla kuzyna Ulryka, i sprawia mu wiele przykrości.

— Czy cię głowa boli, Doro? zapytał pewnego dnia po południu, kiedy wchodząc zobaczył że trzymam się za głowę dwoma rękami, (odwiedzał mnie wtenczas trzy razy na dzień).

— Nie, nie boli, oddowiedziałam, a potem wzięłam jego rękę i położyłam na niej twarz moją.

Nie usunął jej, jak to kiedyś uczynił, ale musiało go to smucić że jestem tak słaba i że moje nerwy są tak rozdrażnione, bo czułam że jego ręka drżała gdy na nią moje łzy spadały.

— Czy sobie czego życzysz moje dziecię? zapytał niespokojnie. W miejsce odpowiedzi zwróciłam na niego oczy i spotkałam jego spojrzenie pełne najczulszej troskliwości.

— Doro, odezwał się wtenczas kuzyn Ulryk, tak być nie może. Nie odzyskujesz zdrowia, codzień znajduję cię równie osłabioną jak w dniu poprzednim, niepokoisz twych przyjaciół, a samej sobie wyrządzasz wiele złego. Co może być powodem tego? Czy doznałaś jakiejś przykrości? Zdaje mi się że musisz mieć jakieś zmartwienie, o którem nie chcesz mówić; powinnabyś jednak wiedzieć że możesz śmiało powiedzieć mi wszystko, że nie zdradzę twego zaufania. Gdyby żyła twoja matka, Doro, lub gdybyś miała ojca, nie wahałabyś się zapewnie wyznać im swoje smutki i strapienia, a jakkolwiek nie mogę wymagać abyś miała dla mnie takie uczucia jak dla ojca, to wiesz że zastępuję ci jego miejsce i że jestem zawsze gotów dopomagać ci memi radami i pocieszać mem przywiązaniem. Czy jeszcze nie zechcesz mi powiedzieć co tak szkodliwie oddziaływa na twoje zdrowie?

Mówił tak poważnie, z taką dobrocią, i tak czuć było że pragnie mojego dobra, że nie mogłam być głuchą na jego wezwanie, i zdradziłam uczucia mego serca pełnym uniesienia ruchem i zapytaniem:

— O! powiedz mi, powiedz kuzynie Ulryku, czy kiedyś będziesz mnie kochał mniej niż teraz? zawołałam zarzucając mu ręcę na szyję.

Zdaje mi się że mój opiekun nie spodziewał się nigdy podobnego zapytania, bo choć nie odsunął się odemnie, czułam że podtrzymujące mnie jego ramię drżało gwałtownie, a oddech był ciężki i przerywany.

Ja ukryłam twarz na jego ramieniu, bo wstyd mi było tego co powiedziałam, i obawiałam się usłyszyć jego odpowiedzi.

On pierwszy przerwał w milczenie.

— Czy dałem ci kiedy powód, Doro, do powątpiewania o mojem przywiązanir?

— Nie! O nie! .. Ale mówiono...

— Co mówiono? nie drżyj tak moje kochanie, jeżeli nie chcesz abym sądził że się mnie boisz.

Pierwszy to raz powiedział do mnie *moje kochanie*, i słodka ta nazwa tak silne zrobiła na mnie wrażenie, że ręce mi się rozsunęły i głowa opadła na poduszki. A gdy milczałam obawiając się powtórzyć mu tego co słyszałam, odezwał się znowu.

— Czekam abyś mi powiedziała, Doro, co mówiono. Spodziewam się że nie cofniesz znów twego zaufania.

— O nie! nie kuzynie, odpowiedziałam zarumieniona, ale dostrzegłam że mu to sprawiło przykrość, i że sądzi iż znów postanowiłam milczeć.

— Widzę że będę musiał wyrzec się tej wiadomości, odpowiedział wstając.

Ale zbyt go kochałam abym mogła zezwolić na to żeby odszedł niespokojny i niezadowolony ze mnie. Starałam się więc przemódz moją lękliwość, powstrzymałam łkanie cisnące mi się gwałtem do gardła jakby mnie zadusić chciało, i odpowiedziałam;

— Mówiono... to jest miss Upjohn powiedziała... przynajmniej powtórzyła to co jej mówiono... że... że masz zamiar... ożenić się, kuzynie Ulryku.

Wielkie słowo zostało wypowiedziane nakoniec, przymusiłam się aby go wymówić, i wysunęło się z ust moich jak z procy, ale bądź co bądź powiedziałam je i to sprawiło mi ulgę.

Podniosłam ku niemu oczy aby zobaczyć jakie wrażenie sprawiły na nim te słowa, i przekonałam się że był zupełnie spokojny: tylko twarz jego ożywił jakiś dziwny wyraz, którego określić ani zrozumieć nie umiałam.

— Czy nie gniewasz się na mnie, kuzynie Ulryku? zapytałam drżąca.

— I czy ta wiadomość stała się przyczyną twej niespokojności i twej choroby, Doro? rzekł nie zwracając uwagi na moje pytanie.

— Tak, była dla mnie przerażającą, odpowiedziałam zmięszana, bo nie mógłbyś już tak mnie kochać kuzynie Ulryku, i... i wszystko zmieniłoby się dla mnie.

— Bądź spokojną, dziecię; rzekł stłumionym i drżącym głosem. Na ciężką wystawiasz mnie próbę... Potem odszedł do okna i stanął przy niem, jakby chciał wyglądać na ulicę.

— Kuzynie Ulryku, może to źle że ja to powiedziałam.

Nic mi nie odpowiedział.

— Nie gniewaj się na mnie, kuzynie Ulryku. Nie wspomniałabym nigdy o tem, gdybyś nie prosił tak usilnie abym nic przed tobą nie ukrywała, ale przykro mi bardzo że to powiedziałam.

Nie mogąc się doczekać odpowiedzi, odezwałam się znowu.

— Kuzynie Ulryku, zapomnij o tem co mówiłam. Wierz mi że nie skłoniła mnie do tego niewłaściwa ciekawość.

Sądziłam że przez moją nierozwagę wyrządziłam mu wielką przykrość, i że mi tego nigdy nie przebaczy. Omyliłam się, szczęściem, bo kiedy zwrócił się ku mnie, nietylko że twarz jego była pogodną, ale nawet wesołą:

— Powiedziano ci więc że się chcę ożenić, i wprowadzić do domu jakąś podżyłą jejmość która będzie trzymać cukier pod kluczem, a ciebie karcić surowo za najlżejsze wykroczenie. A ty uwierzyłaś temu, nierozsądny dzieciaku, i uznałaś że najlepszym sposobem wynagrodzenia sobie niepewnej jeszcze przykrości, jest zalewanie się obfitemi łez potokami, zanim jeszcze złe nas dosięgnie. Powiedz mi na jaką karę mam cię skazać za to że doprowadziłaś się do choroby, z powodu nieuzasadnionych przypuszczeń?

— Więc to nie prawda! zawołałam z radością.

— I cóż cię zmuszało do uwierzenia w prawdziwość tej pogłoski, dopóki ja nie wspomniałem ci nic o tem. Ale może miss Upjohn. posiadająca tak pewne pod tym względem wiadomości, wymieniła także nazwisko osoby którą mam zaślubić?

— O! nie! ale ja sądziłam że to może... miss Raymond.

Kuzyn Ulryk wybuchnął głośnym śmiechem, i ten objaw wesołości tak niezgodnej ze zwykłem jego usposobieniem, tak mnie zmieszał, że nie śmiałam już powiedzieć ani jednego słówka.

— Prawdziwe z ciebie dziecko, Doro; wszak mówiłem ci że miss Raymond nie ma więcej jak dwadzieścia lat, a ja nie raz nosiłem ją na ręku. kiedy była jeszcze małem dziecięciem. Nie, nie, gdybym nawet kiedyś był dość szalonym aby się ożenić, to przynajmniej z pewnością nie z osobą tak młodą że mogłaby być moją córką. Teraz proszę cię o to abyś nie mówiła więcej o tej niedorzecznej plotce, a nadewszystko abyś o niej nie myślała. Jest to wiadomość zupełnie fałszywa, ale gdyby nawet nie tak było, bądź przekonaną, moje dziecię; że nie byłbym zdolnym myśléć o czemś takiem co mogłoby zniweczyć szczęście czy spokój drogich mi osób, lub pozbawić cię choćby najdrobniejszej cząstki tego przywiązania jakie mam dla ciebie. Teraz, moje dziecię muszę już odejść, a jeżeli ta niedorzeczna bajka była rzeczywistym powodem twego zmartwienia, to zapomniej o niej, i niech już nie widzę więcej tych zapłakanych oczu, skoro cię znów odwiedzę.

Sądzę że teraz nie mógł uskarżać się na mój smutek lub zasępienie, byłam zbyt szczęśliwą aby to nie miało wpłynąć na całe moje usposobienie, to też od tego dnia zdrowie moje zaczęło się polepszać widocznie, i szybko odzyskiwałam siły.

Dwie rzeczy tylko nie podobały mi się w odpowiedzi kuzyna Ulryka, chociaż nie umiałabym powiedzieć dla czego.

Najprzód nie podobało mi się to że kuzyn Ulryk nazywał mnie zawsze dzieckiem, jakby był tak bardzo, ale to bardzo starszym odemnie, następnie nie mogłam zrozumieć czemu myśl poślubienia miss Raymond wydała mu się tak śmieszną.

Ma się rozumieć że mnie to bardzo cieszyło że nie zamierzał uczynić miss Raymond towarzyszką swego życia, jednak, gdyby on życzył sobie zaślubić ją, gdyby ona tego pragnęła, gdybyśmy wszyscy byli z tego zadowolnieni, to nie pojmuję czemu jej wiek miałby powstrzymywać kuzyna Ulryka. Miała dwadzieścia lat, więc była już kobietą a nie dzieckiem, cóż więc znaczyło kilka lat mniej lub więcej.

„Może mój kuzyn sądzi, pomyślałam, że pójdę za jakiegoś dwudziestoletniego chłopca, jak naprzykład Ernest Moore? Pomyliłby się bardzo w takim razie, bo nie lubię takich młodzieniaszków' i nigdy ich nie lubiłam, a z pewnością nie pójdę nigdy za mąż, jeżeli mi nie zostawią wolności wyboru.

Z tego ostatniego postanowienia wygłoszonego tak stanowczo, dawał się wyprowadzić wniosek, że skoro już zaczęłam odzyskiwać moje buntownicze usposobienie, można było spodziewać się, że wkrótce odzyskam także i zdrowie.

IV.

Myśli i uczucia doktora Ford.

Szesnastoletnia niedoświadczona Dora Fleming mogła się omylić i uwierzyć w rzeczywistość wesołości doktora Ford, sądzimy przecież że Czytelnicy znający pierwszą część naszej opowieści nie dali się w błąd wprowadzić, i ocenili właściwie uczucia naszego bohatera. Gdyby Dora lepiej znała świat i ludzi, zwróciłaby jej uwagę tak nagła zmiana humoru, a w umyśle zbudziłoby się podejrzenie, czy nie jest to udanie, maska mająca ukryć przed wzrokiem obcym co się działo w duszy i sercu jej opiekuna.

Ale serce Dory nie przemówiło jeszcze, a przynajmniej nie nastręczyła jej się sposobność dozwalająca zauważyć że niekiedy szepcze nam ono coś bardzo rozrzewniającego; żywe budzącego wrażenie. Nic więc dziwnego że wesołość swego kuzyna wzięła za zupełnie naturalną i ztąd wywnioskowała sobie że jest on obecnie równie jak ona zadowolniony. Cieszyła się na samą myśl że będzie odtąd mogła spokojnie uścisnąć dłoń swego kuzyna, nie obawiając się aby niemiłe i przerażające widmo, nieustannie aż do tej chwili ją prześladujące, stawało między nimi. Zrzuciwszy ten ciężar z serca czuła się obecnie zupełnie szczęśliwą, a spokój i szczęście to najlepszy doktór, najprędzej przywraca zdrowie.

I dobrze się bardzo stało że nie umiała czytać w duszy doktora Ford, gdyż pewnie opóźniłoby to jej wyzdrowienie! A! gdyby mogła była widzieć walkę staczającą się w sercu jej kuzyna gdy stał przy oknie i zdawał się przypatrywać z zajęciem co się działo na ulicy; gdyby wiedziała jak trudno mu było zdobyć się na odpowiedź na jej pytanie i znaleźć odpowiednie słowa, i to pomimo żelaznej woli z jaką nakazywał językowi posłuszeństwo; gdyby mogła być świadkiem sporu toczącego się w tej chwili między uczuciem i rozumem i widzieć jak wielkiej potrzebował on siły aby pokonać uczucie pociągające go ku wychowance, zdumiałaby i przeraziła się widząc że proste jej zapytanie zbudziło nagle uczucia i namiętności od tak dawna uśpione.

Nie wyobrażajmy sobie że serce może oduczyć się kochać, że można koateryzować drgające jego fibry i nie sądzimy że raz na zawsze wolni jesteśmy od burz i wichrów, dla tego że ocean po którym płyniemy, jest od jakiegoś czasu spokojny. Dyssekcya serca ludzkiego jest nader trudną; jest to operacya za delikatna dla prostych śmiertelników, i dla tego też biorą się do niej zwykle tylko zarozumiali pyszałkowie, stawiający swe ciężkie i zuchwałe kroki na gruncie który aniołowie zaledwie śmią dotknąć swem skrzydłem. Tyle tylko wiemy że serce składa się z różnych sprężyn, kółek i ogniw, i że liczne cząstki składowe tego mechanizmu nie są wyrobione ani ze stali, ani z żelaza, ani z jakiego bądź metalu, mogącego połamać się lub zardzewiéć. Dalej, doświadczenie przekonywa często, iż niezrównany ten mechanizm jest często w zupełnym ruchu choć posiadacz jego nic o tem nie wie, a nawet jest przekonany że dawno już odrzucił go gdzieś jako zużyte, niepotrzebne narzędzie. Oto wszystko co wiemy o niem. Sama tylko wszechwładna ręka Przedwiecznego może wprawić w ruch ogniwa i sprężyny tego przyrządu, zwracając zawsze działalność jego do naszego dobra; aby tego dosięgnąć dość nam dać się kierować nieskończonej jego mądrości, i nie zrażać się okolicznościami i wypadkami zdającemi się sprzeciwiać doskonałemu dziełu jakie Bóg w nas stworzył.

Ale, niestety! człowiek idąc za popędem swej nierozwagi i zarozumienia chce poprawiać to co Niebieski Robotnik tak doskonale obmyślił i wykończył, i przez to psuje wszystko i wprowadza nieład, a gdy przez to ściągnie na siebie troski i cierpienia, szemrze i narzeka że niebo sprzysięgło się przeciw niemu i że nie jest w stanie dźwigać przygniatającego go ciężaru. Jakże to cierpliwie Bóg miłosierny znosi szemrania nasze, z jak nieskończoną dobrocią naprawia uszkodzenia jakie poczyniliśmy w Jego dziele, i jak umie według dróg swoich i w naznaczonej przez siebie chwili wyprowadzić światło z nagromadzonych przez nas ciemności! Niech ci którzy doświadczyli na sobie tego nieograniczonego miłosierdzia i cierpliwości uznają to głośno, i głośne składają za nie dzięki Stwórcy wszelkiego dobra i łaski.

Ale wracajmy do naszego przedmiotu, aby analiza serca ludzkiego w ogóle nie kazała Czytelnikowi zapomnieć o doktorze Ford, dla którego pragniemy zbudzić jego zajęcie. W chwili gdy okazywał się tak wesołym, serce jego cierpiało więcej może niż

kiedykolwiek w życiu, bo jakkolwiek dostrzegł już że uczucie jakie żywił dla Teodory Fleming było za silne i za gorące na człowieka jego wieku i charakteru, choć serce ścisnęło mu się boleśnie gdy usłyszał zwierzenie Bertrama i następnie rozmyślał nad niem—i nakoniec choć poznał zatrważające te symptomata, teraz dopiero czuł że cierpienie rozwinęło się silnie i nieubłaganie, że nie jest już panem uczuć swoich, i że przez swą nierozwagę czy nieprzezorność, dozwolił rozwinąć się namiętności która zakłóci spokój całego jego życia.

Rozmyślania w jakich zatonął patrząc w okno Dory, napawały go stokroć większą goryczą niżby kogo bądź innego w jego położeniu. Czuł się boleśnie rozczarowanym na samą myśl że szalona ta miłość dla wychowanki okryje go śmiesznością, i że sam sobą pogardzać będzie. Łatwo wyobrazić sobie co doznaje człowiek który najpiękniejszą część swego życia poświęcił udoskonaleniu jakiegoś dzieła, jakiegoś oryginalnego pomysłu, i spostrzega nagle że jeden jakiś błąd, jedna słomka, niweczy długoletne trudy i rozwiewa nadzieje jakiemi długo się pieścił, że to dziecię jego ducha i pracy, zapewni mu majątek lub sławę.

Przekonanego o swem niepowodzeniu, ogarnia bezmierne zniechęcenie, zdaje mu się że wszystko utracił i niezdolny jest do dalszej walki z życiem; po co śmiało stawiać czoło ciężkim próbom i trudnościom, skoro zwalczyć i pokonać ich niemożna? mówi sobie zapewnie. Lepsza śmierć niż to straszne uczucie bezsilności i znużenia?... I takie też zapewnie myśli powstawały w umyśle Ulryka Ford; gdy odkrył, z gorzkiem poczuciem wstydu i upokorzenia, że jest zakochany w swej wychowanicy.

Aby zrozumieć czego doświadczać musiał, przypomnijmy sobie jakie było dotychczas życie tego człowieka. Od lat dziecinnych odznaczał się silnym umysłem, rozwagą i stanowczością charakteru, a gdy Cecylja Fleming gorącą miłość jego odpłaciła zdradą, postanowił sobie w duszy że odtąd nigdy już nie stanie się igraszką jakiejś kobiety. Płakał za Cecylją, a potem sam szydził z łez swoich; długo myślał o niej, poczem pogardzał sobą że nie umie zapomnieć; wzdychał za nią, a potem szydził ze swej słabości i szału — aż nareszcie to szyderstwo i pogardzanie samym sobą, przywiodły go do znienawidzenia—nie kobiety, ale miłości. Zanadto był szlachetnym aby miał znienawidzić tę którą kochał, ale doszedł do tego że znienawidził, a raczej mniemał że znienawidził namiętność która narzuca więzy sercu i woli człowieka, zamieniając go w prawdziwego niewolnika, najsilniejszego czyni słabym jak dziecko, rozumnego niedorzeczniejszym od szaleńca, chlubiącego się swą przezornością, nierozważniejszym od studencika. Na przyjaciół uwikłanych w sieci miłości, spoglądał z uczuciem politowania, dziwił się ich zaślepieniu, ubolewał nad zarozumiałą nieoględnością i *in petto* przepowiadał niemiłe przebudzenie, bolesne rozczarowanie. Od owej chwili uważał tylko kobiety za twory niezbędne w przyrodzie i chlubił się z tego że jest zupełnie nieczułym na ich wdzięki. Mało go bardzo obchodziło czy miały wielkie lub małe, niebieskie czy czarne oczy, płeć białą czy śniadą, utoczoną lub niezgrabną figurę, czy miała własne piękne zęby i włosy, lub kupione u dentysty lub fryzyera. Jako doktór, miał ciągłe stosunki z piękniejszą połową rodzaju ludzkiego, leczył ich spazmy i ataki nerwowe, ale nie wiele dbał o to czy pacyentka jego jest młoda czy stara, ładna lub brzydka, córka księcia lub para, czy też stara Irlandka umierająca z *delirium trémens* szepcząc słowa godne trującego jej oddechu.

Nikt jednakże nie mógłby powiedzieć że Ulryk Ford stał się mizantropem lub że stracił wrodzone sobie uczucia miłosierdzia i litości, zaprzeczało temu bezstronne jego współczucie dla cierpiących. Dla wszystkich w ogóle był dobrym i litościwym; dla słabych bo sam czuł się silnym, dla waryatów bo wiedział że jest rozumnym, surowym zaś był tylko dla siebie, — a nie tolerował jednej tylko miłości.

Jak człowiek któremu udało się zabić groźnego dzikiego zwierza, patrzy z zadowolnieniem na rozciągniętego u nóg swoich niebezpiecznego wroga, winszując sobie że już mu nie grożą jego szpony, tak Ulryk Ford spoglądał dumnie na ubezwładnionego i pokonanego przez niego złośliwego bożka, i był najzupełniej przekonany że groty i strzały jego już go nie dosięgną. Wyżej opisaliśmy wrażenia jakich Filip Ford doznawał w chwili śmierci Emilii Fleming. Od lat już kilku dawał jej na utrzymanie, tajemnie dosyłając jej pieniędzy mających niby pochodzić od ojca lub braci, chowając że tak powiemy światło swe pod korzec i wmawiając w siebie że czyni to dla tego jedynie, iż nie mógłby znieść gdyby mówiono że kuzynka jego cierpi niedostatek; lecz stanąwszy przy śmiertelnem łożu tej którą tak kochał kiedyś, musiał przyznać że się po części omylił, i że jeźli dawna jego miłość nie rzucała już płomieni ani iskier, popioły jej jednak nie zupełnie zastygły, nadto zmuszony był nawet uznać że Bóg miłości który złożył w nas boską zdolność kochania, sam tylko stanowić może kiedy działanie jej ma przestać stanowić nasz niepokój lub szczęście. Śmierć nieszczęśliwej kuzynki wzbudziła w duszy jego bolesne uczucie, jak gdyby ktoś gwałtownie rozniecił w nim gorący jeszcze popiół, aby znów wybuchł płomieniem; ale gdy już ostatnie wydała tchnienie i spokojna spoczęła w trumnie, a z tem ustał dręczący go o nią niepokój, znów zastygł rozdmuchany chwilowo popiół i głucha nastała cisza.

Nie przymioty umysłu i serca ale piękność jej twarzy stanowiły główny urok Cecylii; to też gdy piękność ta uległa losowi jaki każdą spotyka w grobie, nie pozostawiła po sobie tego niezatartego wspomnienia jakie pozostawiają zalety duszy, wiążące nas nierozerwalnie z ukochanymi zmarłymi. Tak więc doktór Ford wyrozumował sobie że wieczny uczynił rozbrat z tkliwemi uczuciami, że serce jego nie poruszy się już i nie zadrga żadnem ziemskiem przywiązaniem. Ponieważ był bardzo zdolnym doktorem i na konsyliach najlepsze, najtrafniejsze objawiał zdania, ponieważ jako chirurg miał najpewniejszą rękę, wywnioskował stąd sobie że i we wszystkich kwestyach tegoświata sąd jego równie jest nieomylny jak w przedmiotach odnoszących się do jego powołania, oraz wierzył że jest wszechwładnym panem swych uczuć i wyobraźni. Jakże więc upokarzającem było dla człowieka z podobnym charakterem, przekonać się że mając lat trzydzieści ośm, zakochał się niebacznie w szesnastoletniej dzieweczce, że uwikłał się w sieci miłosne po tylu latach *samo-karności* i panowania nad sobą, i znowu wszelkie szczęście całego życia nadzieje, opierał na uczuciu *kobiety* a raczej *dziecka*. A jednak zmuszony był sobie zrobić to wyznanie gorzkie; upokarzające, okrutne—potrzebował zatem uciec się do całej siły swego charakteru aby zamknąć w sobie bolesne gnębiące go wrażenia i pokryć je maską wesołości.

Lecz nie samo tylko poczucie własnej słabości najmocniej niepokoiło go w tej chwili—inna jeszcze obawa wzbudziła się w jego umyśle. Z żywym niepokojem przypominał sobie wzruszenie z jakiem Dora zadała mu owo pytanie, słodko zamglone spojrzenia jakie zwracała na niego, gwałtowny uścisk jej rozpalonych dłoni i łzy palące spadłe na jego rękę—a odnosząc myśli te do symptomatów jakie zauważył u niej w ostatnich czasach, to jest bezsenność, zupełny brak apetytu, przygnębienie moralne, w umyśle jego powstało nagle podejrzenie szybkie jak przedzierająca chmury błyskawica. Mogłożby to być aby tajona skłonność o jaką posądzał ją dla Wiliama Bertram, w rzeczywistości do niego skierowaną była? Wielki Boże! czy to podobna?.,. Dora taka młoda, niewinna, takie jeszcze dziecko!... Nie mógł, nie śmiał zatrzymywać się nad tem przypuszczeniem, wydawało mu się niemal bluźnierstwem.

Niepodobna określić słowami obszaru i otchłani wrażeń, jakich doznał wtedy przy oknie w pokoju chorej. Czuł się pognębionym przerażającemi dowodami stwierdzającemi jego miłość: chciał koniecznie przemówić i sam nadmiar tego usiłowania tłumił mu głos w piersiach; walczył z wybuchem namiętności, tem silniejszym i gwałtowniejszym im dłużej był tłumionym, — a nie dość na tem, przedmiotem tej szalonej jego miłości była własna wychowanica, córka kobiety którą kochał kiedyś.

Już to samo powinno było stanowić nieprzepartą jego miłości zaporę i potępienie. Kochać się w matce a potem w córce—a! to rzecz niesłychana, okropna; sama ta myśl dreszczem przejmowała Ulryka Ford, potęgując cierpienie poczuciem tak ciężkiej winy. Stał więc przy oknie z twarzą zarumienioną wstydem, z sercem szarpanem niepokojem; drżał na samą myśl, jak boleśna okropna czekała go przyszło... Bądź co bądź, mówił sobie, choćby mnie najstraszn... sze czekały udręczenia, sam tylko cierpieć będę—... im niech będą udziałem moralne męczarnie i nie... koje, byle ona była szczęśliwą i spokojną...

I dopiero powziąwszy to postanowienie, zdołał powrócić do łóżka Dory, i starał się okazać nietylko *swobodnym* ale nawet *wesołym*, jak to napisała w swoim dzienniku. Zdobył się na wypowiedzenie słów mogących najlepiej uspokoić umysł młodziutkiej chorej i zarazem rozproszyć własne jego udręczenia.

Przez miłość dla niej zapanował nad własnemi uczuciami, a postępowanie takie odpowiadało najlepiej wzniosłemu i szlachetnemu jego charakterowi, jaki staraliśmy się dać poznać Czytelnikom. Uspokoiwszy zupełnie obawy dziewczęcia, pożegnał ją, smutną dręczony myślą: że odtąd już nie będzie mógł jak dotąd cieszyć się w jej obecności tem wewnętrznem zadowolnieniem i spokojem jakich doznawał dotychczas. Nawet nie powstało mu w myśli aby miał korzystać z symptomatów jakie dostrzegł u niej. Jeźli nawet przypuszczenia moje są słuszne, mowił sobie, to skłonność dostrzeżona w tem dziecku jest tylko uwidzeniem chorej; dotąd, prócz mnie, nie zna bliżej nikogo z mężczyzn, nic więc dziwnego że dała mi pierwszeństwo—ale łatwo uleczyć ją z tego przewidzenia wprowadzając w świat gdzie ją otoczy rój młodych wielbicieli.

(d. c. n.)



N. 4. Koronka irlandzka.

Opis do N-ru 46.

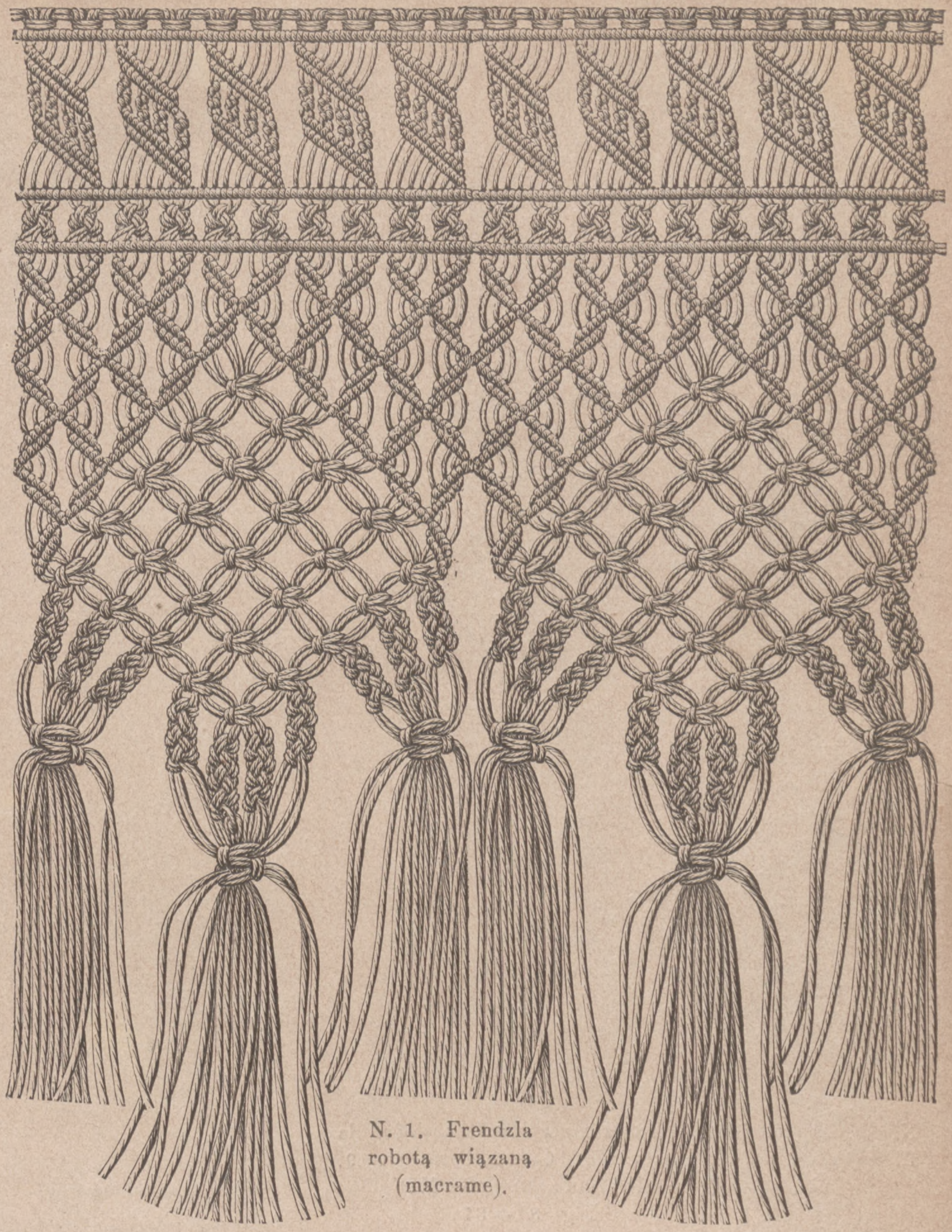
(*Dokończenie*).

Od prawej strony pleców, prawy brzeg bryta tylnego przyszywa się gładko do sfałdowanego boczka w ten sposób gwiazdką do gwiazdki, ażeby u dołu wystawał wolno spuszczony na 40 cent. Przy lewej stronie bryt składa się w pukiel luźno spuszczony, 28 cent. długości zajmujący, a u dołu wystaje 32 cent dłużej boczka. Ryc. 33 przedstawia suknię wełnianą w drobną a ryc. 34 w dużą cienką kratę, u obydwóch spódnice oszyte są falbaną 40 cent. szeroką, z pod której wygląda wązkie plisowanie z gładkiego materyału z którego są także pliski i plisowanie z vetement.

Opis do N-ru 47.

N. 1. Frendzla robotą wiązaną (macramé).

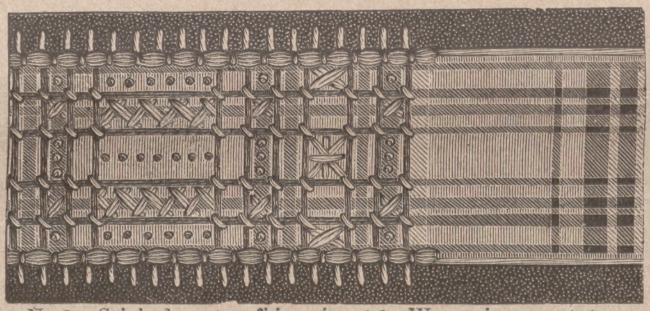
Odpowiednio do czego ma być użytą, to jest do okryć sukień, firanek, serwet i t p. może być odrobiona z grubego lub cieńszego kordonkowego jedwabiu, nici białych lub szarych lub bawełny kordonkowej.



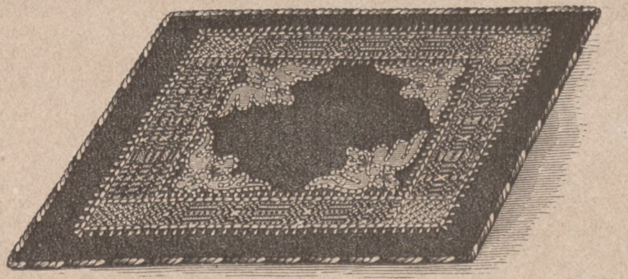
N. 1. Frendzla robotą wiązaną (macrame).

N. 1—2. Patarafka pod lampę. Deseń na arkuszu F. 51.

W kwadrat liczy 27 c. i ma na tle ponsowem aksamitnem naszyty szlak 3 cent. szeroki, z blado niebieskiej wstążki w szkocką kratę, ozdobiony wyszyciem z kolorowej filozeli dzielonej po dwie nitki; brzegiem wstążki dana nitka bronzowej filozeli w całej grubości, przyszyta jaśniejszemi ściegami. W narożnikach dana aplikacya z popielatego atłasu wyszyta podług Fig. 51, brzegi deseniu oszyte popielatym jedwabnym sznureczkiem i filozelą blado żółtą przeszywaną bronzowemi ściegami. Brzeg patarafki otoczony grubym jedwabnym sznurem.



N. 2. Szlak do patarafki rycina 16. Wyszycie na wstążce szkockiej.



N. 3. Patarafka. Patrz ryc. 15 i Fig. 51 na arkuszu.

N. 5. Serweta ozdobiona wyszyciem i koronką.

Fig. 50 na arkuszu z krojami załącza czwartą część pięknego deseniu wyszytego ściegiem sznureczkowym, bardzo grubą bawełną ponsową i szafirową na tle z mocnego żółtawego płótna. Kolor bawełny zmienić można podług gustu; na modelu figury były ponsowe a arabeski szafirowe, w szlaczku mieszały się oba kolory. Brzegi oszyte koronką nicianą 14 cent. szeroką.



N. 5. Serweta ze szlakiem wyszywanym i koronką. Deseń patrz Fig. 50.

N. 6. Kokarda z czarnego tiulu ozdobiona złotem.

Kokarda zastępująca żabot układa się z czarnego jedwabnego tiulu podwójnie wziętego, 12 cent. szerokiego. Cztery pukle po 12 i po 9 cent. długie, przedzielone są końcami po 12 cent. długości, zakończonemi grelotkami z ponsowego jedwabiu i nitki złotej. Przyozdobienie kokardy stanowi szlaczek naszyty z pukielków złotego sznureczka.

N. 7. Szalik oszyty koronką.

Szalik z materyi sursh w szkocka



N. 8. Kapelusz czarny filcowy.

N. 15. Agrafka.

N. 14. Kapelusz okrągły zdobny piórami.

N. 16. Kokarda do kołnierzyka.

N. 10. Czapeczka filcowa dla chłopczyka.

N. 11. Kapelusik dla małej dziewczynki.

N. 7. Krawatka oszyta koronką.

N. 16 — 17. Kaftaniczek dla dziecka lat 2 — 4. Krój na arkuszu Nr XVI, Fig. 92 — 96.

N. 9. Kapelusz z torsadą szenelkową.

N. 12. Kapelusz pluszowy zdobny kokardą i pompons.

N. 13. Kapelusz amazoński zdobny piórami.

N. 22. Kapelusz filcowy dla dziewczynki.

N. 18. Płaszczyk z kapturkiem dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 19. Krój na arkuszu Nr XIV, Fig. 82—87a.

N. 20. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.

N. 20. Ubranie dla młodej panienki. Krój i opis na arkuszu Nr IV, Fig. 20 — 28.

N. 19. Płaszczyk z kapturkiem. Patrz ryc. 18.

N. 36. Kapelusz pluszowy dla dziewczynki.

N. 26. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 32.

N. 27. Paletocik dla chłopca lat 4 — 6. Patrz ryc. 33. Krój na ark. Nr V, Fig. 29—34.

N. 28. Sukienka dla małego dziecka.

N. 29. Paletocik i mufka dla małej dziewczynki.

N. 31. Paletot wcinany dla młodej panienki. Patrz ryc. 30.

N. 30. Paletot wcinany dla młodej osoby. Patrz ryc. 31. Krój na arkuszu Nr XIII, Fig. 76—81a.

N. 24. Kapelusz z pluszu z długim włosem.

N. 25. Kapelusz pluszowy.

N. 40. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami. Krój na arkuszu Nr X, Fig. 58 — 63.

N. 41. Długi płaszczyk oszyty pluszem. Krój na arkuszu Nr XX, Fig. 109.

N. 32. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 26. Krój na ark. Nr VII, Fig. 42—47.

N. 33. Paletot dla chłopca. Patrz rycina 27.

N. 34. Suknia z ubraną spódnicą i stanikiem z baskiną. Krój i przód na arkuszu Nr XII, Fig. 67 — 75.

N. 35 — 36. Płaszczyk z peleryną i szalowym kołnierzem. Krój i opis na ark. Nr III, Fig 17—19b.

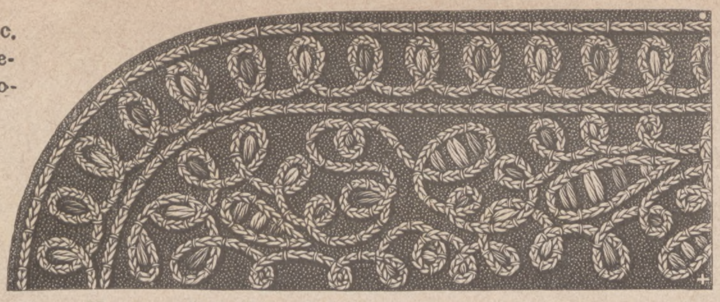
N. 37. Suknia ze stanikiem z odcinaną baskiną. Krój i plecy na ark. Nr II, Fig. 6—16.

N. 38—39. Płaszczyk dla dziewczynki lat 6 — 8. Krój i opis na arkuszu Nr VI, Fig. 35—41a.

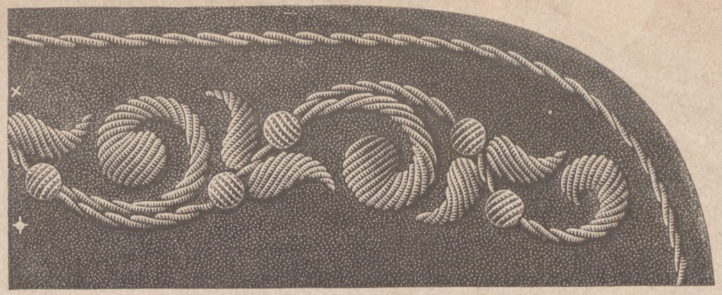
N. 42. Suknia z vetement z kapturkiem i paskiem ze sznura.

N. 43. Suknia ozdobiona haftem złotym. Patrz ryc. 46. Krój deseń i przód na ark. Nr XIX, Fig. 103—108.

kratę liczy 120 c. długości a 15 szerokości; końce oszyte dwa razy koronką 5 cent. i 7 cent. szeroką, przedzieloną rzędem frendzelki.



N. 44. Haft złotem i kolorowym jedwabiem na kołnierzyk stojący. Deseń Fig. 114.



N. 45. Haft złotem na kołnierzyk stojący. Deseń Fig. 115.

Z tyłu z wierzchu przypięte są rozety pompon a od spodu ronda lekko wygiętego, dane kilka krótkich pukli z materyi.



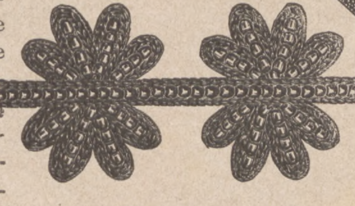
N. 47. Kwaścik sznelowy z perełek.

N. 8. Kapelusz czarny filcowy.

Ma rondo podszyte marszczonym ponsowym atłasem i odpowiednio do tego główkę opasaną wstążką atłasową 12 centym. szeroką, związaną z boku w kokardę. Z drugiego boku przypięte cieniowane ciemno ponsowe róże, przysłonięte koronką 12 cent. szeroką, wyszytą dżetem i zakończoną dżetową frendzelką.



N. 46. Połowa wyszycia na kieszeń do r. 43.



N. 49. Torsada z perełek.



N. 50. Torsadka z perełek.

N. 9. Kapelusz zdobny sznelową torsadką.

Główka pokryta atłasem vieil-or, i naszyta torsadą z ponsowej szneli, wiśniowego jedwabiu i nitki złotej. Rondo z przodu bardzo szerokie, do tyłu zwężone pokryte z wierzchu ciemno ponsowym pluszem, podszyte od spodu wiśniowym atłasem i torsadką. Przybranie stanowi atłasowa wstążka viel-or, 6 cent. szeroka i agrafki złocone.

N. 10 — 11. Kapelusze dla dzieci.

Na rycinie 10 widzimy czapeczkę popielatą filcową, z 5 cent. wysokiem rondkiem, pokrytem pluszem, z boku przypięte trzy rozety pompon ciemno-ponsowe. Granatowy filcowy kapelusik dla małej dzieweczynki, przewiązany fantazyjnie aksamitką idącą pod brodą a z przodu zdobny wielką aksamitną kokardą.

N. 12 i 24. Kapelusz pluszowy.

Rycina 24 przedstawia nieubrany fasonik z pluszu o długim włosie, a rycina 12 przedstawia kapelusz pluszowy ozdobiony kokardą wielką z bronzowej materyi surah na 4 pukle, której potrzeba kawałków materyi po 28 cent. długich 30 — 50 c. szerokich.

N. 13. Kapelusz amazoński zdobny piórami.

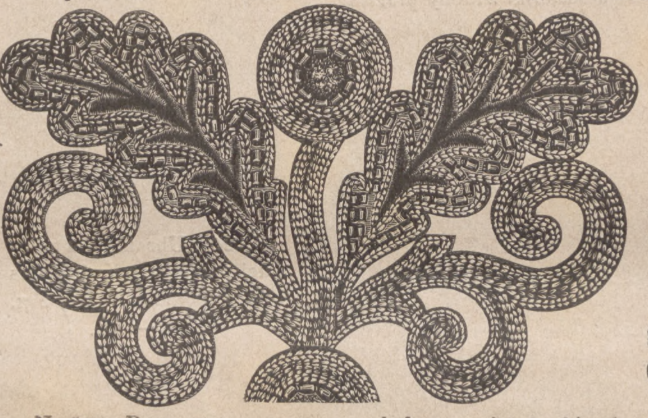
Ma dość wysoką główkę z czarnego jedwabnego filcu a rondo z pluszu z długim włosem. Przybranie stanowią fantazyjnie w około ronda przypięte strusie piórka od 12 — 18 c. długie a z przodu przepięcie aksamitne ze skosu 30 cent. szerokiego.

N. 14. Kapelusz okrągły z wywiniętem rondkiem.

Fasonik czarny filcowy ma rondko równo w około na 3 cent. wywinięte i niezbyt wysoką główkę z płaskiem denkiem. Bogate przybranie stanowią strusie pióra cieniowane w kolorze ponsowym od najciemniejszego do najjaśniejszego.



N. 48. Kwaścik sznelowy.



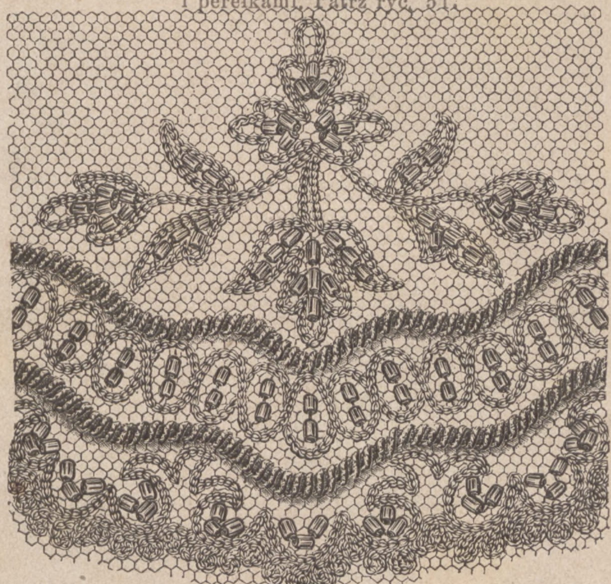
N. 52. Pasmanterya wyszywana kolorowemi jedwabiami i perełkami. Patrz ryc. 51.



N. 51. Pasmanterja wyszyta kolorowemi jedwabiami i perełkami (zmniejszona). Patrz rycina 52.



N. 53. Pasmanterja haftowana ściegiem płaskim i perełkami. (Zmniejszony deseń).



N. 54. Koronka wyszyta łańcuszkiem i perełkami.

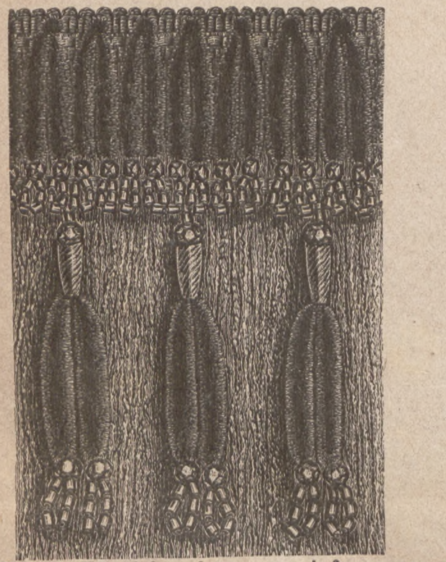
N. 16 — 17. Kaftaniczek dla dziecka lat 2—4. Krój na arkuszu Nr XVI, Fig. 92 — 96.

Może być odrobiony z cienkiego sukna z repsowem przybraniem lub z flanelki z aksamitem; kołnierzyk, mankiety, kieszonki i klapki są całe aksamitne lub obłożone w około na 2 centym. Brzegi są dwa razy przestębnowane; guziki z konchy perłowej.

N. 18—19. Płaszczyk z kapturkiem dla panienki lat 10-12. Krój na arkuszu Nr XIV, Fig. 82 — 87a. Rękaw podług F. 25.

Jeżeli ma służyć do codziennego wyjścia w jesieni, powinien być na flanelowej podszewce; model który opisujemy był z bronzowego twedu, zapięty na rogowe guziczki, ostębnowany w około brzegów, z kapturkiem i wyłożeniem jedwabnem lub atłasowem.

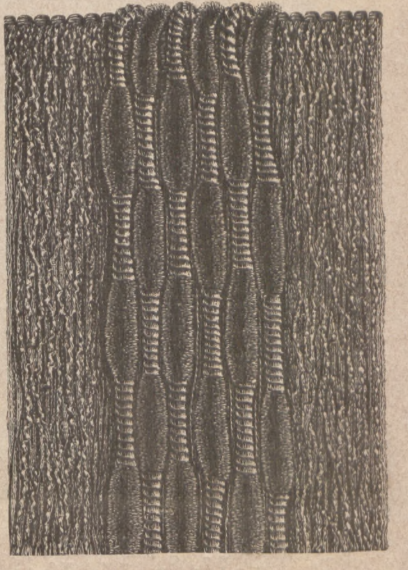
(*d. n.*)



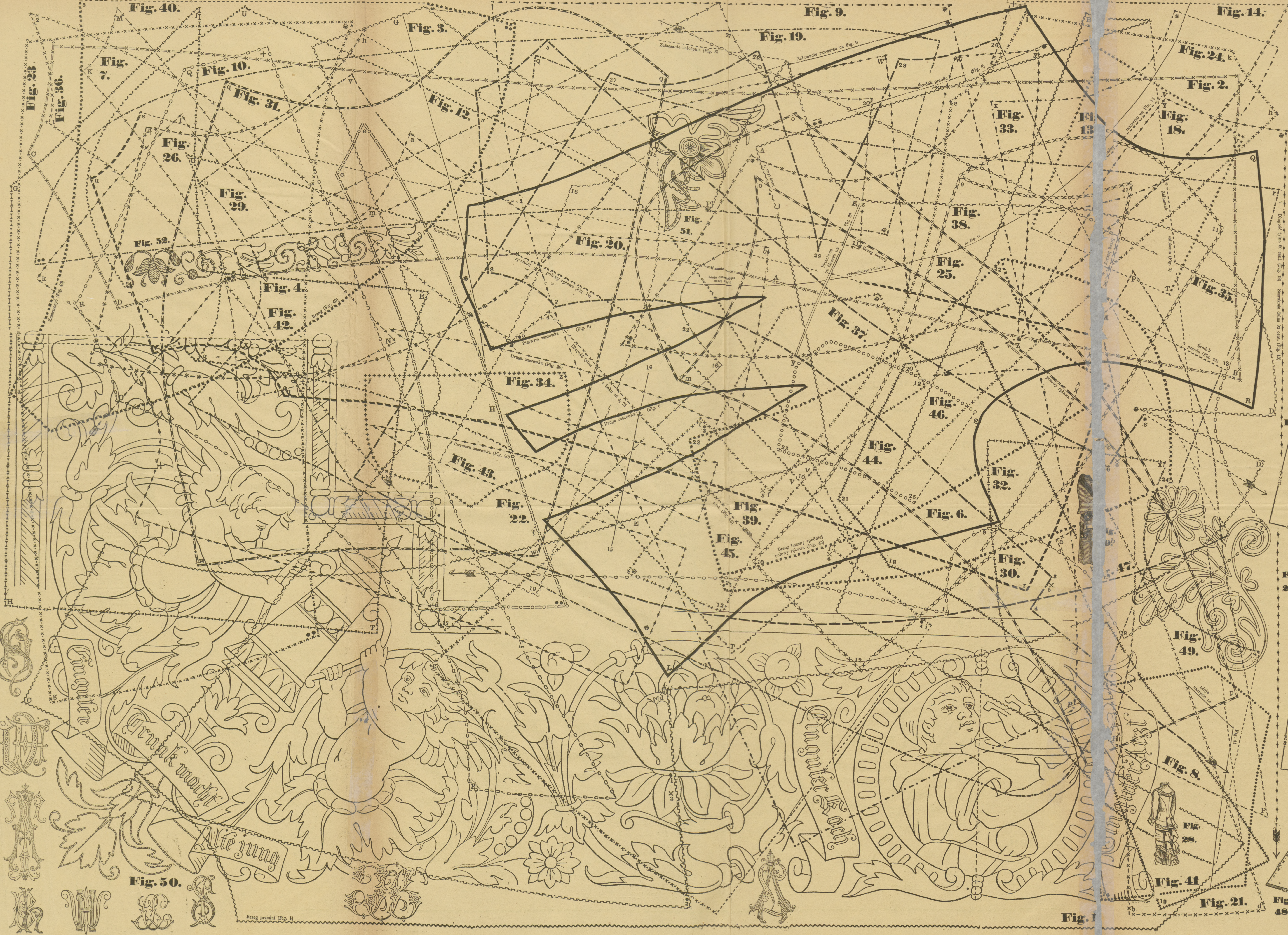
N. 55. Frendzla z kręconego i fryzowanego jedwabiu, szneli i perełek.



N. 57. Oszycie do płaszczyka ryc. 30 w N-rze 46.



N. 56. Frendzla z jedwabiu i szneli wyciskanej w deseń.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1880 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

N. I. Płaszczyk z prosto ściętymi rękawami. Ryc. 10 w Nrze 46.

Fig. 1. Przód (A, B, C, D, E, I) 1 założenie
Fig. 2. Połowa pleców (A, B, C, D)
Fig. 3. Zwierzchnia połowa rękawa (A, D, E, F, G, H, ✻, X 1 i • 1 do X 2 i • 2) 1 założenie
Fig. 4. Spodnia połowa rękawa (E, F, G, H, I)
Fig. 1a—4a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 1—4.
Fig. 5. Płaszczyk przedstawiony z tyłu.

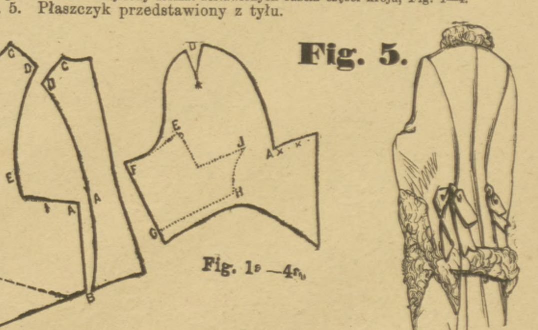


Fig. 5.

Fig. 1a—4a.

Po zeszyciu pleców z przodami od A do B i od C do D przyszywa się rękawy, złożone ze zwierzchniej i spodniej połowy, dając szew od A przez D i E do I. Brzeg zwierzchniej połowy rękawów wystający przy A zakłada się w dwie fałdy, których przyszycie zakrywa kokarda. Płaszczyk ten jest z bronzowego materjału oszyty futrem na 11 cent. szerokości i frendzlą sznelową 10 cent. szeroką. Kokardy z atłasowej wstążki.

N. II. Stanik z dodaną baskiną i draperja do sukni. Ryc. 37 w Nrze 47.

Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 34 w pasie.

Fig. 6. Przód (K, L, Q, R, S, •, :, ✻)
Fig. 7. Pierwszy boczek (K, L, M, N)
Fig. 8. Drugi boczek (M, N, O, P)
Fig. 9. Przednia część baskiny (P, ✻)
Fig. 10. Połowa pleców (O, P, Q, R, +)
Fig. 11. Wskazanie kroju połowy tylnej, fałdowanej części baskiny (P)
Fig. 12. Rękaw (S, T, U, V)
Fig. 13. Wykład do rękawa (T, V)
Fig. 14. Połowa spodniego kołnierza, z oznaczeniem zwierzchniego (+, •, :)
Fig. 6a—10a i 12a—14a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 6—10 i 12—14 zestawione z Fig. 11.
Fig. 15. Wskazanie kroju draperji (a. połowa przodu, b. górna, c. dolna część upięcia z tyłu.
Fig. 16. Stanik przedstawiony z tyłu.

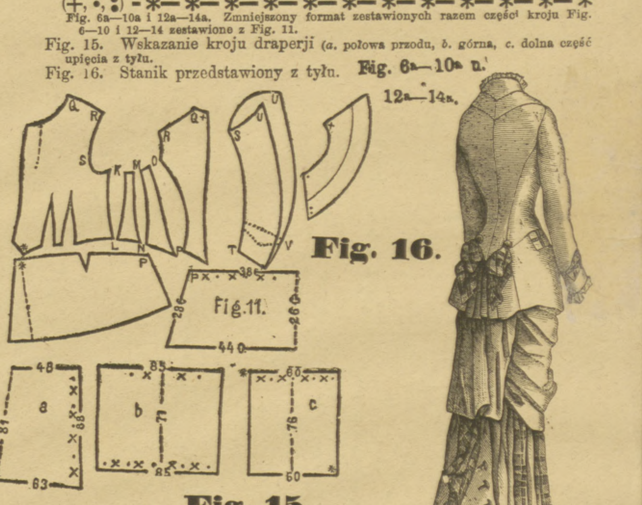


Fig. 6a—10a u. 12a—14a.

Fig. 16.

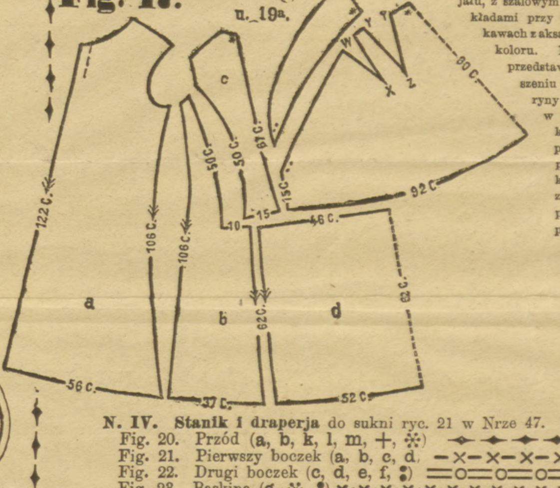
Fig. 15.

N. III. Płaszczyk z peleryną i szalowym kołnierzem. Ryc. 35-36 w Nrze 47.

Fig. 17. Wskazanie kroju połowy płaszczyka (a. przód, b. boczek, c. połowa pleców, d. połowa części fałdowanej).
Fig. 18. Połowa peleryny (W, X, Y, Z, ✻, :)
Fig. 19. Połowa szalowego kołnierza (✻, :)
Fig. 18a i 19a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 18—19 tudzież Fig. 17.
Fig. 19b. Płaszczyk przepięty paskiem skórzanym.

Fig. 17.

Fig. 18a u. 19a.

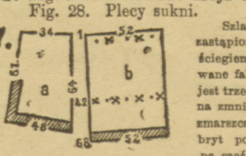


Odrobiony jest z wełnianego materjału, z szalowym kołnierzem i wykładami przy kieszeniach i rękawach z aksamitu tego samego koloru. Krój płaszczyka przedstawiliśmy w zmniejszeniu na Fig. 17; peleryny zaś i kołnierza w naturalnej wielkości. Fig. 19b przedstawia całość płaszczyka z paskiem skórzanym, znanego w Paryżu pod nazwą „Capucin".

N. IV. Stanik i draperja do sukni ryc. 21 w Nrze 47.

Fig. 20. Przód (a, b, k, l, m, +, ✻)
Fig. 21. Pierwszy boczek (a, b, c, d.
Fig. 22. Drugi boczek (c, d, e, f, :)
Fig. 23. Baskina (g, ✻, :)
Fig. 24. Połowa pleców (e, f, g, h, i, k, l, :, X 3 i • 3 do X 4 i • 4)
Fig. 25. Rękaw (m, n, o, p)
Fig. 26. Połowa peleryny (h, +)
Fig. 27. Wskazanie kroju draperji (a. połowa przodu, b. bryt tylny).
Fig. 28. Plecy sukni.

Fig. 27.



Szlaki tkane fabrycznie, zdobiące ten model, mogą być zastąpione plisami z materjału w pasy lub kratę, albo wyszytemi ściegiem krzyżykowym. Spódnicę zdobią w około dwie plisowane falbany po 12 cent. szerokie, z przodu i z boków dodany jest trzeci wolant. Draperja kraje się podług miar wskazanych na zmniejszonym formacie Fig. 27; przód (a) jest w środku zmarszczony do 50 cent., z boków do 55 cent. długości. Tylny bryt podpina się w bufę przez złożenie fałd oznaczonych na części b.

N. V. Paletot dla chłopca lat 4—6. Ryc. 27 i 33 w Nrze 47.

Fig. 29. Przód (q, r, u, v, x, y, z)
Fig. 30. Połowa pleców (q, r, s, t, u, v)
Fig. 31. Rękaw (q, w)
Fig. 32. Połowa spodniego kołnierza (s, x)
Fig. 33. Połowa zwierzchniego kołnierza (s, x)
Fig. 34. Klapka do kieszeni (y, z)

N. VI. Płaszczyk dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 38—39 w Nrze 47.

Fig. 35. Przód (1, 7, 8, 9, 13, 14, 15)
Fig. 36. Boczek (1, 2, 3, 4, • 5
Fig. 37. Połowa pleców (2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, X 5 do • 6 i X 6)
Fig. 38. Rękaw (9, 10, 11, 12)
Fig. 39. Wykład na rękawie (10, 12, ✻)
Fig. 40. Połowa kapturka (5, 13, :, •)
Fig. 41. Kieszeń (14, 15)
Fig. 35a—41a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 35—41.

Odrobiony jest z tweedu i przyciśnięty paskiem 5 cent. szerokim. W kapturku na podłożenie, przy kieszeniach i rękawach dany reps jedwabny; piękne guziki, rzędy stębnówki i sznury stanowią przybranie. Szerokość zbywająca przy plecach i bokach jest podług ryc. 39 założona w fałdy, które w połowie długości są zastębnowane, przyciśnięte guzikami a dalej luźno puszczone. Kapturek bez szwu, z podwójnie wziętego materjału, ma maleńkie zaszycia od punktu do dwukropka. Linją prostą odznaczona jest listewka do nawleczenia elastyki pod 2 cent. szerokim nagłówkiem. Górny brzeg jest przymarszczony i wszyty w wązki pasek.

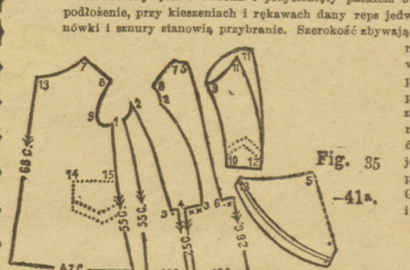


Fig. 35—41a.

N. VII. Płaszczyk dla małej dziewczynki. Ryc. 26 i 32 w Nrze 47.

Fig. 42. Przód (16, 17, 20, 21, 22, 27)
Fig. 43. Boczek (16, 17, 18, 19)
Fig. 44. Połowa pleców (18, 19, 20, 21, 26)
Fig. 45. Rękaw (22, 23, 24, 25)
Fig. 46. Połowa mankieta (23, 25
Fig 47. Połowa pelerynki (26, 27, 28, 29)
Krój kapturka patrz Fig. 40.

N. VIII. Draperja do sukni ryc. 4—6 w Nrze 46.

Fig. 48. Wskazanie kroju draperji (a. część przednia zachodząca pod spód, b. część przednia idąca na wierzch, c. bryt tylny).
Fig. 49. Deseń na szlak perełkowy, ryc. 6.

Desenie do ryc. 3 i 5 w Nrze 47 i ryc. 22 w Nrze 46.

Fig. 50. Czwarta część szlaku do serwety ryc. 5.
Fig. 51. Narożnik do patarafki ryc. 3.
Fig. 52. Szlak do koszyczka ryc. 22.

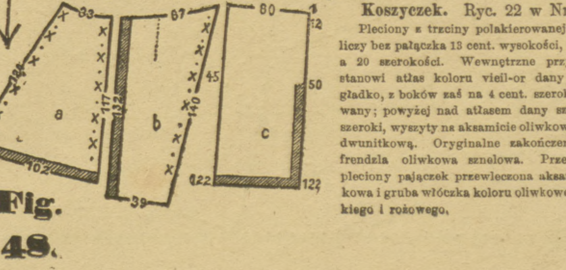
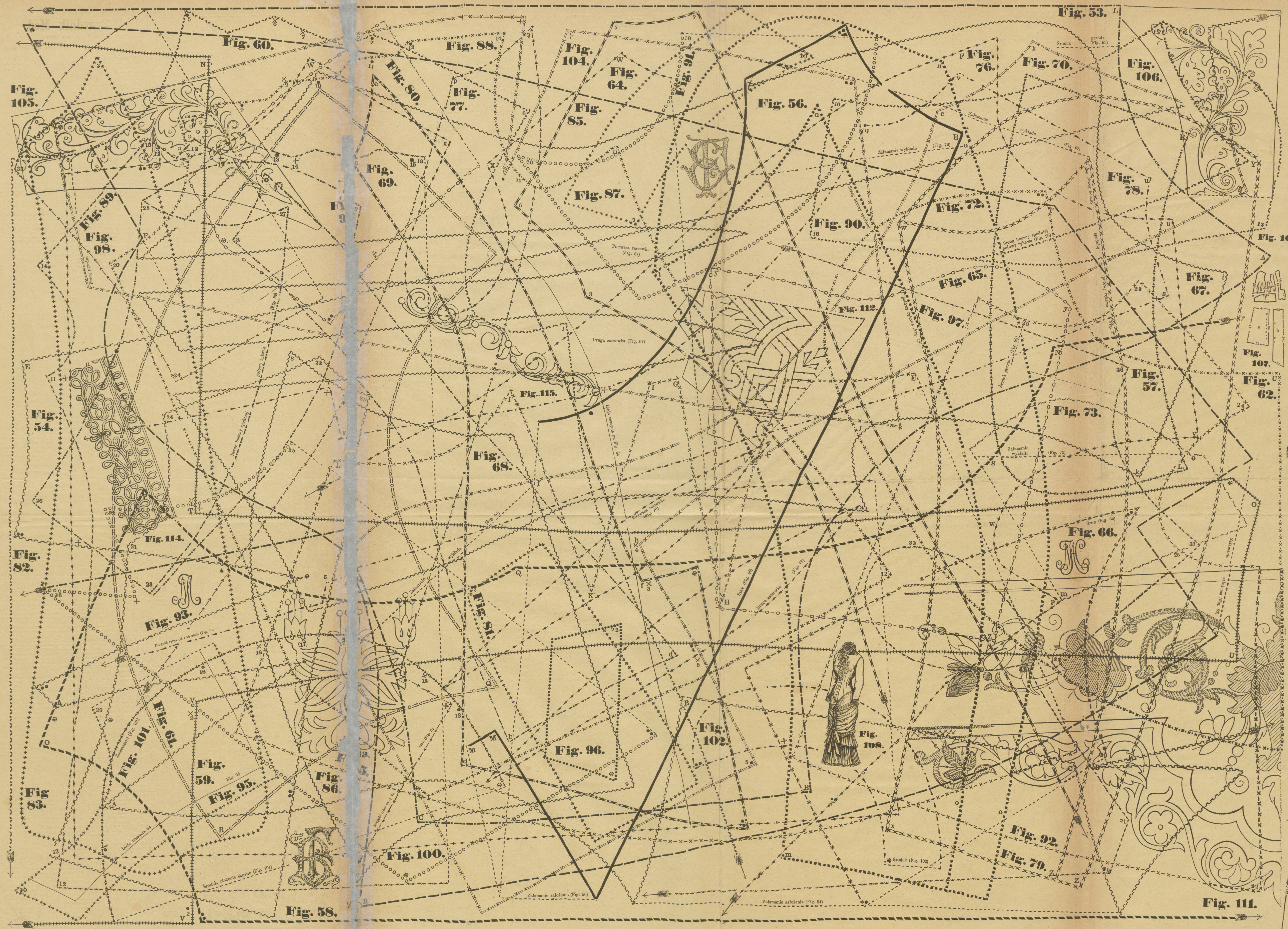


Fig. 48.

Koszyczek. Ryc. 22 w Nrze 46.

Pleciony z trzciny polakierowanej bronzowo, liczy bez pałączka 13 cent. wysokości, 33 długości a 20 szerokości. Wewnętrzne przyozdobienie stanowi atłas koloru vieil-or dany na denku gładko, z boków zaś na 4 cent. szerokości fałdowany; powyżej nad atłasem dany szlak 4 cent. szeroki, wyszyty na aksamicie oliwkowym, filozelą dwunitkową. Oryginalne zakończenie stanowi frendzla oliwkowa sznelowa. Przez ażurowo pleciony pająćzek przewleczona aksamitka oliwkowa i gruba włóczka koloru oliwkowego, niebieskiego i różowego.



Tygodnik Mód

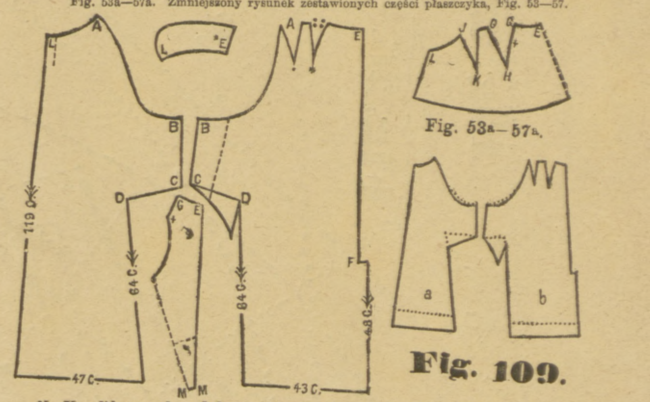
w Warszawie 1880 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 46 i 47.

N. IX. Płaszczyk z długim kapturkiem. Ryc. 11 w Nrze 46.

Fig. 53. Przód razem ze spodnią częścią rękawa (A, B, C, D, L)
Fig. 54. Plecy razem z zwierzchnią częścią rękawa (A, B, C, D, E, F, ⁚, ✻, •) 1 załamanie formy
Fig. 55. Połowa peleryny (E, G, H, I, K, L, +)
Fig. 56. Połowa kapturka (E, G, M, +) 1 założenie
Fig. 57. Połowa kołnierza (E, L)

Fig. 53a—57a. Zmniejszony rysunek zestawionych części płaszczyka, Fig. 53—57.

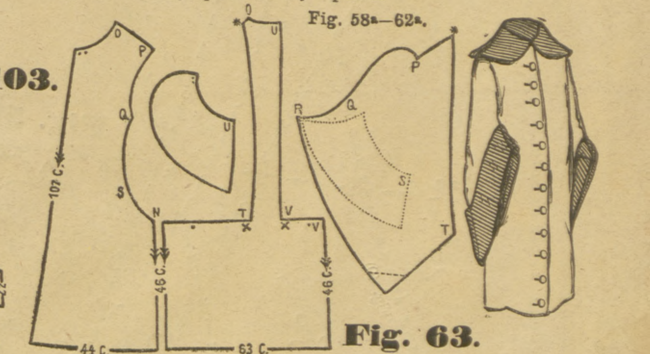


N. X. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami. Ryc. 40 w Nrze 47.

Fig. 58. Przodek (N, O, P, Q, S, ⁚)
Fig. 59. Plecy (N, O, T, U, V, ✻, X 1 • 1 do X 2 • 2)
Fig. 60. Zwierzchnia część rękawa (P, Q, R, T, ✻) 1 załamanie formy
Fig. 61. Spodnia część rękawa (Q, R, S)
Fig. 62. Połowa kołnierza (U, ⁚)

Fig. 58a—62a. Zmniejszony rysunek formy, Fig. 58—62.

Fig. 63. Płaszczyk przedstawiony z przodu.



N. XI. Paletocik szydełkowy dla dzieci. Model i opis w Nrze późniejszym.

Fig. 64. Połowa paletocika (W, X, Y, ⁚)
Fig. 65. Rękaw (Y, Z)
Fig. 66. Połowa kapturka (✻, ⁚, •, +)

N. XII. Stanik i draperja do ryc. 34 w Nrze 47.

Miara połowy górnej objętości stanika 44, w pasie 28 cent.

Fig. 67. Przód (a, b, i, k, l)
Fig. 68. Boczek do przodu (a, b, c, d)
Fig. 69. Boczek do pleców (c, d, e, f, ✻, ⁚, X 3)
Fig. 70. Plecy (e, f, g, h, i, k, X 4 • 4 do X 5 • 5)
Fig. 71. Model połowy części fałdowanej (✻, ⁚)
Fig. 72. Rękaw (l, m, n, o)
Fig. 73. Połowa mankieta (m, o)
Fig. 74. Wskazanie kroju draperji (*a.* bryt przedni, *b.* część boczna, *c.* część górna, *d.* część dolna draperji tylnej).
Fig. 75. Przód sukni ryc. 34.



N. XIII. Paletocik wcinany dla niedorosłej panienki. Ryc. 30 i 31 w Nrze 47.

Fig. 76. Przód (p, u, v, w, •)
Fig. 77. Boczek (p, q, r, +)
Fig. 78. Plecy (q, r, s, t, u, v, +)
Fig. 79. Rękaw (w, x, y, z)
Fig. 80. Połowa mankieta (z, ⁚, ✻)
Fig. 81. Połowa kołnierza (s, •)

Fig. 76a—81a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy, Fig. 76—81.

N. XIV. Płaszczyk dla panienki lat 10—12. Ryc. 18 i 19 w Nrze 47.

Fig. 82. Przód (1, 5, 6, 10, ✱, X 6 • 6 do X 7 • 7)
Fig. 83. Boczek (1, 2, 3, 4)
Fig. 84. Model kroju części dopełniającej boczek (2, 4)
Fig. 85. Plecy (3, 5, 6, 7)
Fig. 86. Połowa kapturka (7, 8, 9, 10)
Fig. 87. Połowa kołnierza (7, 10)

Rękaw krajać podług Fig. 25.

Fig. 82a—87a. Zmniejszony rysunek zestawionych części formy, Fig. 82—87.

N. XV. Sukienka fałdowana dla dziewczynki lat 2—4. Ryc. 17 i 18 w Nrze 46.

Fig. 88. Przód (11, 12, 13, 14, 15, 20, X 8 • 8 do X 11 • 11)
Fig. 89. Połowa pleców (11, 12, 13, 14, 19, X 12 • 12 do X 15 • 15)
Fig. 90. Rękaw (15, 16, 17, 18)
Fig. 91. Połowa kołnierza (19, 20)

N. XVI. Kaftanik dla dzieci lat 2—4. Ryc. 16 i 17 w Nrze 47.

Fig. 92. Przód (21, 22, 23, 24, 25, 30)
Fig. 93. Plecy (21, 22, 23, 24, 29, ✻, ⁚)
Fig. 94. Rękaw (25, 26, 27, 28)
Fig. 95. Połowa kołnierza marynarskiego (29, 30)
Fig. 96. Patka (22, ✻)

N. XVII. Płaszczyk dla niemowlęcia. Ryc. 30 w Nrze 46.

Fig. 97. Przód i plecy (31, 32, 33, 35, 36)
Fig. 98. Połowa rękawa (33, 34)
Fig. 99. Model kroju peleryny.
Fig. 100. Połowa kapturka (35, 36, ✻, ⁚, +)

Fig. 97a—98a i 100a. Zmniejszony rysunek formy, Fig. 97—100.

N. XVIII. Kapelusik dziecinny. Ryc. 25 i 28 w Nrze 46.

Fig. 101. Połowa denka (⁚, ✻, X 16 • 16 do X 18 • 18)
Fig. 102. Połowa ronda (✻, ⁚)

N. XIX. Stanik z odcinaną baskiną i draperja do ryc. 43 w Nrze 47.

Fig. 103. Model połowy stanika.
Fig. 104. Baskina (✻, ⁚, +, •)
Fig. 105. Deseń połowy kołnierza.
Fig. 106. Deseń połowy mankieta.
Fig. 107. Model kroju połowy draperji (*a.* połowa bryta przedniego, *b.* połowa bryta tylnego).
Fig. 108. Przód sukni.

N. XX. Długi płaszczyk. Ryc. 41 w Nrze 47.

Fig. 109. Model płaszczyka któren dopasować podług formy N. IX (*a.* przód, *b.* plecy).

N. XXI. Vêtement do ryc. 33 i 34 w Nrze 46.

Fig. 110. Model kroju vêtement (*a.* połowa przodu, *b.* boczek do przodu i pleców, *c.* plecy, *d.* bryt tylny).

Desenie do haftu, do ryc. 3 i 14 w Nrze 46 i ryc. 44—45 w Nrze 47.

Fig. 111. Połowa deseniu do haftu kolorowego i koronkowego hiszpańskiego do lambrekiny ryc. 3 w Nrze 46.
Fig. 112. Część deseniu do haftu na skórze na pataraſkę pod lampę.
Fig. 113. Rzucik do torsady perełkowej, ryc. 14 w Nrze 46.
Fig. 114. Część deseniu do wyszycia złotą plecioneczką na kołnierzu stojącym, ryc. 44 w Nrze 47.
Fig. 115. Część deseniu do haftu złotem na kołnierzu stojącym ryc. 45 w Nrze 47.

